

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 20-go lutego 1943r.

Rok V. Nr. 7

DWIEŚCIE TYSIĘCY

Natura związała człowieka z ziemią. Kazała mu ją kochać, tęsknić za nią i za jej posiadanie umierać. Rolnik jest jakby najbardziej prawidłowym, najbliższym życzeniom natury stworzeniem ludzkim. Pracuje w ziemi, pielęgnuje ją, zbiera jej plony i jest jej za nie wdzięczny. Każdy inny, którego losy rzuciły na bruki miast, do wnętrza fabryk, sklepów, biur i magazynów jest od tej ziemi już bardziej odległy, mniej ją odczuwa i mniej rozumie.

Tym niemniej w momencie, gdy każą mu własne kąty, własne pola i lasy, własne miasta, fabryki i sklepy opuszczać, gdy nie wolno mu do nich wrócić i gdy tylko wspomnienie, tylko tęsknota i myśl może z powrotem bezkarnie ku znajomym stronom ulecieć — jest człowiekiem nieszczęśliwym. Jest on czymś na podobieństwo drzewka świątecznego, uciętego przy samym pniu, ustrojonego pięknie i stojącego prosto i zdawało by się, żywo, lecz skazanego na powolne uschnięcie. Brak mu korzeni, którymi dochodzą do organizmu żywotne soki. Brak mu soków własnej ziemi.

Nam ich często brak dzisiaj. Jesteśmy daleko, jesteśmy sami, jesteśmy odcięci od pnia naszego istnienia. Może dlatego trudno nam mieć pełne wyobrażenie o losie kraju. Chwilami zdaje się, że jest zbyt ciężkie, zbyt niewygodne straszną rzeczywistość ludziom /co prawda — na szczęście — nie liczącym/, których zainteresowanie losami innych, których zainteresowanie losami nawet własnego ugoru, własnego pola, położonego daleko i nienamagalnego fizycznie — jest zatrzważająco małe. Nie ma chyba celu przekonywać kogoś, kto twierdzi, że w Polsce nie jest wcale tak źle — o tym, że w Polsce już chyba nie może być gorzej. Natomiast jest celowe, jest koniecznością, obowiązkiem, mówić wszystkim innym o tym, jak tam jest naprawdę, wskazywać im, do czego wrócą i co będą musieli zrobić. A ponad wszystko kierować ich na drogę, którą jedynie, nie wiele, ale przynajmniej trochę, mogą pomóc tamtym w znoszeniu cierpień, w przetrwaniu więzień, poniżeń, bólu.

Tak jest. Dzisiaj, w tej chwili, w wojsku niemieckim znajduje się dwieście tysięcy rdzennych Polaków, zapisanych wbrew ich woli, bez ich wiedzy, na listy *Volksdeutsche*, a potem wezwanych do służby wojskowej. Ci Polacy, przeważnie młodzi chłopcy, dostali w ręce broń, po przejściu, lub nawet bez przeszkolenia, ci Polacy są na wszystkich frontach, rozrzucony po kompaniach i plutonach rdzenie niemieckich. Polacy ci muszą walczyć przeciwko wojskom sowieckim, przeciwko Brytyjczykom, przeciwko Sprzymierzonym, przeciwko Polakom, przeciwko — nam.

Siłą zmuszeni, zagrożeni utratą życia własnego i pozostawionej rodziny, biją się. Strzelają, kiedy mogą, w powietrze. Nie zawsze jednak mogą. Poddają się chętnie, lecz gdy widzi go najbliższy feldfebel — Polak ginie. Tragizm wojny ostatniej, gdy brat strzelał do brata, powtarza się w stokroć zwiększonej mierze, gdyż walka tu nie tylko o naszą wolność, lecz o ideały ludzkości całej, walka dobrego ze złym.

Niemiecki mundur oblekający polskie ciało zabite kanadyjskim pociskiem pod Dieppe to obraz w swym tragizmie niedający się opisać. Bowiem Kanadyjczycy istotnie spotkali się tam z Polaka-

mi, bowiem strzelali wzajemnie do siebie, ginęli, a gdy powrócili potem do domów, do Kanady, nie wszyscy umieli wytłumaczyć sobie należycie to zjawisko, a wrogi nam czynnik chętnie rozpuszczają wieści, że przecież Polska znalazła zdrajców w swoich szeregach, że przecież zesłała do roli Rumunii, czy Węgier i na pomoc Rzeszy wysłała swoich synów...

A oni tam tymczasem krwawili się na plaży francuskiej i ostatnim dogasającym spojrzeniem patrzyli w kierunku Anglii, wyspy wolności, szczęścia i celu ich marzeń. Nie doszli do niej, nie doszli do nas. Zginęli mając w sercu obraz nasz wyidealizowany, święty, bardzo piękny. Wiedzieli, że przecież powiemy tym wszystkim innym, tym Kanadyjczykom, Szkotom, Amerykanom i wszystkim innym, dlaczego oni tam byli, dlaczego musieli być, powiemy, że oni także zginęli za Sprawę, że setki kul poszło w powietrze, że rozbrajali maszyn,

ych upuszczali w piasek, że nieodbezpieczone granaty rzucali przed siebie. Wiedzieli, że to zrobimy...

Tymczasem my... prawie, że nie wiedzieliśmy o tym! Tymczasem my często staraliśmy się nie widzieć dalekich od nas, a jakże bliskich przez nieszczęścia spadające na głowy ich tam, w Kraju. Na Śląsku zabrano do wojska ponad sto tysięcy Polaków, na Pomorzu ponad siedemdziesiąt tysięcy. Przydzielali się ich do oddziałów przeznaczonych do najbardziej niebezpiecznych zadań. Z reguły idą za nimi sztafety SS.

Tych sztafet nie widzą sprzymierzeni, gdy stwierdzają, że mają przeciwko sobie Polaków. Widzą tylko młode, młodzieńcze twarze słowiańskie z niemieckimi karabinami przyłożonymi do oka. Widok tych twarzy przesładuje ich potem długo po powrocie do domu, gdy na ulicach swych miast widzą nasze twarze bliźniaczo podobne do tamtych. Nieskomplikowane umy-

śły, nieświadomieni ludzie nie rozumieją tego. Pytają się innych. Rzadko otrzymują prawdziwą odpowiedź.

Poza protestacyjną uchwałą Rady Narodowej z czerwca ub. roku nie zrobiliśmy niczego, aby sprawę poboru obywateli polskich do wojska niemieckiego należycie nawiązać, by o niej w ogóle powiedzieć, by krzyknąć wielkim głosem o jeszcze jednym nieposzanowaniu prawa międzynarodowego, nieprzestrzeganiu elementarnych zasad ludzkich, o jeszcze jednej krwawej ranie zadanej przez Niemców naszemu bezbronnemu dzisiaj narodowi. Gorzej jeszcze — w rozmowach ze Sprzymierzonymi nie zawsze potrafimy przedstawiać im sprawy w należyty sposób. Brak nam argumentów, gdy rozmówca wytacza kolubryne terenów etnograficznych, czy "poczucia przynależności państwowej". Nie umiemy, jakże często, rozwiąć konkretnymi faktami, wątpliwości Brytyjczyków co do

prawdziwego stanu w Polsce.

Ta sprawa w ostatnich tygodniach nabrała nowej ostrości i większych, nieobliczalnych rozmiarów.

Nie oglądając się na przepisy prawa międzynarodowego, przekreślając rzuconą ongiś przez Hitlera zasadę, że General-Gubernatorstwo ma być "ojcowizną" dla Polaków, Niemcy wysunęli teraz hasło zapisywania się Polaków na listę przynależności — do narodu niemieckiego. Cel jest jasny: znaleźć tanie mięso armatnie także z tego terenu okupacji, jakby nie wystarczyło już dokonanej potworności na dwustu tysiącach ludzi.

Dwieście tysięcy obywateli polskich wcielonych zostało do armii niemieckiej. Dwieście tysięcy — to dobrych kilka dywizji. Dwieście tysięcy — to co najmniej milion pozostawionych rodzin. Dwieście tysięcy — to o tyle więcej, aniżeli nas jest tutaj, o tyle więcej...

A ich przywiązanie do ziemi, ich miłość ojczyzny jest taka sama jak nasza, spotęgowana jeszcze tragicznym położeniem. Dlatego trzeba im pomóc, a poprzez nich Krajowi, sobie samemu wreszcie. Nie czekać na głos oficjalnej propagandy. Wolać głośno, tak by głos przebił najbardziej stwardniałe serce, najbardziej odporną skorupę obojętności, o tym co tam się dzieje. Mówić im, tym naszym gospodarzom wszystkim bez wyjątku, począwszy od gospodyni szkockiej, skończywszy na dworze królewskim, że polscy szesnastoletni chłopcy zostali wcieleni do armii Rzeszy! Że idą za nimi sztafety! Że, gdyby Niemcy tu byli to może i John i Willie zamiast chodzić spokojnie do szkoły walczyli by dziś na froncie wschodnim ubrani w znienawidzony mundur! Że przed nimi i za nimi byłyby karabiny maszynowe, a ich rodzice żyć by musieli pod wieczną grozą śmierci.

Mówić im trzeba żywym, realnym głosem polskiego przyjaciela, do którego zdążyli nabrać już zaufania i któremu wierzą — to znaczy stokroć więcej niż martwe, drukowane słowo. To znaczy przecież najwięcej dla tego biedaka, którego ostatnie wejście w naszym, brytyjskim kierunku pełne było wiary, że misję swoją spełni, że duszę jego czystą i polską ukážemy jego mimowolnym, nieświadomym zabójcom.

Jest wieczór i panuje cisza. Szkockie miasteczko pogrążone jest w swoich niedzielnym rozmyślaniach o Bogu i wieczności. Wzdłuż drogi stoją jednakowe małe domki. W jednym z nich siedzi młodzieniec w mundurze z naszywką "Poland" i poprzez czarny aksamit nocnego powietrza i poprzez zasłonięte okiennice słyszy rytmiczny, powolny, ciężki krok idącej ludzkiej gromady. Biją o bruk podbite gwoździemi buty, zachrząca czasem karabin. Nic więcej. Błyskawica rozświetla ich twarze szare, stare, oczy gorączkowe, niespokojne. Idą bez końca, długo, jednostajnie, jedni do drugich podobni, tak samo ubrani, tak samo myślący, tak samo czujący i wszyscy wpatrzeni gdzieś w stronę Zachodu, gdzieś, gdzie widzą wolność, gdzie widzą nadzieję, gdzie czują ziszczenie swych marzeń. Co oni za jedni? Dokąd idą? Ilu ich idzie...? Naliczył ich dwieście tysięcy.

Jest znowu cicho. I bardzo smutno.

ZYGMUNT NAGÓRSKI, jr

Druga nagroda w konkursie na pracę graficzno-rysunkową

Godło: Lelum-Polelum

Autor: Stefan Osiecki



© Musées de Grasse, Alpes-Maritimes

Szkic sytuacji

DWIE MOWY

Churchill i Roosevelt wygłosili mowy oddzielone od siebie odstępem jednego dnia. Churchill przemawiał w parlamencie, Roosevelt na dorocznym przyjęciu sprawozdawców prasowych w Białym Domu — przyjęciu, które odbywa się w dniu święta Lincoln, wielkiego prezydenta i wielkiego Amerykanina.

Obie mowy były prawdziwą ucztą dla ludzi, którzy znają wartość retoryki i słowa. Jak wspaniale obaj ci mówcy operują słowem! U Roosevelta wyrażenia biblijne — a Pismo święte jest dalej siłą wśród narodów anglosaskich i narzuca im ustawicznie swoje porównania i swoje zwroty — kojarzyły się żywo z nowoczesnymi wyrażeniami amerykańskimi. U Churchilla dostojna, wzorowana na historiku Macaulayu rytmika zdań, zabarwiona była jemu tylko właściwymi zwrotami.

Alle mowy te były wielkimi mowami nie tylko przez swoją szagę zewnętrzną, przez bogactwo myśli — były wielkie przez swoją wiare w zwycięstwo: wiare opanowaną, wiare dojrzałą, która nie wymachuje łatwymi obietnicami, ale przedstawia jutro jako dobę wysiłku i trudu. Mowy Churchilla i Roosevelta uzupełniały się: Churchill w swoim przeglądzie wojennym dał obraz pełny, ciekawy, zastanawiający, Roosevelt wybiegł w przyszłość i nakreślił moralną, by tak rzec, panoramę przyszłości.

W mowie Churchilla takie oto zdania zasługiwały na podkreślenie: „*między dowództwem amerykańskim i brytyjskim panuje pełna zgodność celów i zamierzeń, sojusznicy nie ukrywają, że po uzyskaniu Tunisu przystąpią do zaatakowania kontynentu Europy, okręty podwodne stanowią daleką wieczną martwotę — sojuszników, ale nadwyżka żegluga nad topionym tonażem zaczyna się zaznaczać i będzie rosła odtąd bez przerwy, Turcja zostanie dobrożona.*”

Roosevelt w swojej mowie nakreślił wizję przyszłości, obraz świata, w którym panować musi przede wszystkim poczucie łączności między narodami i myśl solidarności. Izolacjonizm, wywodził prezydent Stanów, musiał się skończyć, albowiem nawet najbardziej ograniczeni widzą, że niemożliwością jest aby nawet najpotężniejsze narody żyły osobno. „*Świat stał się jednym wielkim sąsiedztwem*” — powiedział Roosevelt — *połączony on jest wspólnotą doli. Dlatego musi on ze sobą współpracować. Swojego czasu Lincoln powiedział, że „nie możemy uniknąć historii” — i dzisiaj Ameryka nie może ucieszyć przed swoim losem, który powiada jej, że musi ona zająć odpowiedzialne stanowisko*

w świecie i wziąć na siebie odpowiedzialność za to wszystko, co się na świecie dzieje.

Mowa Roosevelta, uzupełniona niejako mową podsekretarza stanu Sumner Wellesa, który podkreślił znaczenie solidarności narodów — jest wezwaniem do narodów świata, ażeby, zrozumiały swoją wspólnotę doli. Wezwanie to dotyczy wszystkich krajów. Winno ono znaleźć echo szczególnie w tych zespotach, które dalej jeszcze zbyt ciasno umyjają przyszłość swoich państw. Przyszłość nas wszystkich, ludów Europy, zależy od zdolności współpracy — *żadne państwo europejskie nie potrafi utrzymać się po wojnie samo.* Mrzonki samowystarczalności upadły, marzenia mocarstwowe takiego czy innego państwa — musza okazać się zawodne.

Idzie epoka dużych obszarów — tak, jak była ona już kiedyś aktualna: w średniowieczu. Dlatego wśród nas musi się zakorzenić przekonanie o wspólnotcie doli, musi się ugruntować świadomość, że tylko w zespoleniu z narodami środkowo-wschodniej Europy możemy stworzyć te podstawy bytu i ładu, które mają szansę ostać się w trudnych czasach powojennych. Wszelkie małe spory sąsiedzkie, wszelkie porachunki między sąsiadami winny zniknąć z pola widzenia.

Jutro wymagać będzie od odpowiedzialnych polityków zapamiętania o wielu urazach, o wielu potknięciach się przeszłości. Wiele sporów „o mur graniczny”, jeżeli chodzi o kraje sąsiedzkie będzie musiało traktować się inaczej. Nie do pojęcia

jest bowiem w dobie wielkiego obszaru i gospodarki planowanej na olbrzymią skalę trwać zabytkałach doby, która spełniwszy swoją rolę musi ustąpić nowym wymaganiom.

GROZA PODWODNA

W prasie brytyjskiej rozważa się dalekie sposoby obrony przed atakami okrętów podwodnych. Jest to dla sojuszników zagadnienie najpilniejsze. Utrata tonażu w ostatnich miesiącach była mniejsza, ale przypisać to należy w dużej mierze temu, że warunki działania na oceanach zwłaszcza na Atlantyku w czasie burz zimowych są szczególnie ciężkie.

Rzesza rzuci wszystkie swoje siły w walkę podwodną. Nominacja Doenitz, człowieka bez skrupułów, typowego pirata jest tutaj bardzo zamięnna. Raeder, który kładł nacisk na flotę nawodną poszedł w odstawkę — Doenitz skupi przypuszczalnie wszelkie wysiłki tworzenia i budowania nowych jednostek na okrętach podwodnych.

Brytyjskie ataki lotnicze kierują się wyraźnie przeciwko ośrodkom, gdzie buduje się nowe okręty podwodne. Lorient, Hamburg — oto cele tego działania.

PRZERWA W TUNISIE

Armie brytyjskie weszły niejako na obszar generała Eisenhowera, którego mianowano kierownikiem całego śródziemnomorskiego teatru wojny. Generał Alexander i generał

Montgomery są obecnie jego podkomendnymi. Z ochotą i humorem poddali się oni komendzie amerykańskiej. Eisenhower, na którego pewne, niezawsze odpowiedzialne oddamy prasy, dokonywały napadów, jest najwidoczniej przeznaczony na tego wodza, który sięgnie po laury najazdu na kontynent. Najwidoczniej posiada on plany i jeżeli tak, to stało się słusznym, że jemu oddano kierownictwo działań.

Słowa Churchilla i Roosevelta zakończyły chyba sprawę Francji. Okazuje się, że Giraud nie jest znowu takim „straszny faszystą” jak to malowała radykalna lewica brytyjska, ani też de Gaulle nie jest tak znowu nieprzejednany: oto nadchodzi doniesienie, że jeden z bliskich jego ludzi stał się pomocnikiem Peyroutona.

Churchill i Roosevelt obrali właściwą drogę: cierpliwości. Zapewnili oni, że nie jest ich zamiarem — w co wierzył każdy rozsądny człowiek — takimi „straszny faszystą” jak to malowała radykalna lewica brytyjska, ani też de Gaulle nie jest tak znowu nieprzejednany: oto nadchodzi doniesienie, że jeden z bliskich jego ludzi stał się pomocnikiem Peyroutona.

Cieszyć się należy, że znaleziono sposoby, że okazano dobrą wolę, aby uniknąć zametu. Jest nadzieja, że podobnych sposobów będzie się trzymać Ameryka i W. Brytania w stosunku do innych krajów Europy.

FRONT WSCHODNI

Wojska sowieckie zagroziły dwu wielkim ośrodkom: Charkowowi i Rostowowi i drugi z tych ośrodków

Z tygodnia na tydzień

7 lutego: Odbyła się uroczystość ofiarowania wotum na ołtarz Matki Boskiej Częstochowskiej w kościele polskim w Londynie przez mechaników pracujących w polskich warsztatach stacji lotniczej w N.

—W Szkocji odbyło się uroczyste zaprzysiężenie żołnierzy ze szwadronu sztabowego, szwadronu regulacji ruchu i szwadronu łączności. Przysięgający składali się prawie wyłącznie z żołnierzy przybyłych z Rosji.

9 lutego: załoga polskiego dywizjonu Dowództwa Wybrzeża podczas patrolowania Zatoki Biskajskiej została zaatakowana przez cztery „Junkersy.” Jeden z samolotów

niemieckich został prawdopodobnie zestrzelony, a polski bombowiec wrócił cało do Anglii.

10 lutego: W dniu święta Marynarki Naczelny Wódz gen. Sikorski przemawiając przez radio powiedział: „Po drugiej wojnie światowej staniemy mocno i pewnie nad morzem, by zagwarantować Polsce nieodzowną a bezpośrednią łączność z całym światem.”

Polska Marynarka Wojenna jest o 25% silniejsza, aniżeli była w momencie rozpoczęcia wojny. Stan jej jest następujący: 1 lekki krążownik, 7 kontrtorpedowców, 3 okręty podwodne, 3 ścigacze.

11 lutego: Churchill przemawiając w Izbie Gmin podał do wiadomości, iż naczelnym dowódcą w Północnej Afryce jest gen. Eisenhower, jego zastępcą gen. Alexander, dowódcą floty admirał Cunningham a lotnictwa marszałek Tedder.

12 lutego: W Warszawie ogłoszono o rozstrzelaniu 70 osób za napady z bronią w rękę przeciwko Niemcom.” Na Warszawę nalożono grzywnę 10,000,000 złotych.

—Armia Czerwona zdobyła Krasnodar, stolicę Kubania.

15 lutego: Podano do wiadomości zajęcie Rostowa i Woroszytowgradu przez armię czerwoną.

Nowości lotnicze

dostępne temu, kto będzie dostatecznie silny w powietrzu by je sobie ochronić i pełne bezpieczeństwo zapewnić.

Wchodzimy tedy w okres nowery świata, gdy dominująca będą szlaki lotnicze, a siła państwa będzie zależna od jego siły powietrznej, także, wtedy, gdyby przy zasadzie bezpieczeństwa zbiorowego sprawy bezpieczeństwa powietrza były załatwiane w drodze zbiorowej. Nawet przy najdoskonalszej organizacji zbiorowej nie zdola się jednak wyeliminować ambicji narodowych i naturalnego dążenia do rywalizacji między poszczególnymi jednostkami państwowymi, czy jednostkami państw, jak kto woli.

Stajemy wobec tego u progu walki o szlaki powietrzne, walki, która przy dobrej woli może być

prowadzona zupełnie bezkrawo, walki, której bronią będzie inicjatywa i energia ekspansywna elementów konkurujących. Jak to słuszenie podkreślił George Winnington w swym może nieco przykrótkim artykule w „Dzienniku Polskim” p.t. „Polska dworcem centralnym Europy” — Polska jest w takim położeniu geograficznym, że większość linii komunikacyjnych Europy, szczególnie te z zachodu na wschód i południowy wschód skrzyżują się na terenie Polski.

W przyszłym układzie politycznym Polska odegra tedy rolę nie byle jaką. Lecz czy ją odegra — będzie to w największej mierze zależne od samych Polaków, od dojrzałości polskiej myśli politycznej i umiejętności meżów stanu patrzenia daleko naprzód.

Takich dworców jak Polska na świecie będzie zaledwie parę, lecz żaden nie będzie tak bogaty w możliwości, koncentrujący na stosunkowo małym terenie tak wielkiej wiazki promieni komunikacyjnych. Przyszłość Polski leży rzeczywiście w powietrzu. Dlatego dziś, gdy problemy leżą w kolebce, już należy chwycić możliwości i plany na przyszłość układać.

Z uczuciem wielkiej ulgi należy powitać pogłoski o bliskim utworzeniu Rady Lotniczej przy Rządzie Polskim w Londynie. Zadania tej rady będą olbrzymie. Jedynym niebezpieczeństwem jakie jej grozi, będzie zaplanowanie się w sprawie drobne, aktualne, na przyszłość nie mające specjalnego wpływu. Zły czar wszelkiej personalii, niezdolność wyważenia istotnej prawdy pośród sprzecz-

nych poglądów grup — oto te niebezpieczeństwa.

Nie możemy wyobrazić sobie, by całokształt zagadnień lotniczych przyszłości Polski, które wchodzi w sferę kompetencyjną wszystkich bez wyjątku ministerstw, mogło być załatwiane tylko przez jedno z nich. Dlatego Rada nie może być przy jakimś Ministerstwie — może być tylko przy Prezydium Rady Ministrów, jako organie uzgadniającej całokształt zagadnień polityki wewnętrznej, zewnętrznej wojskowej czy przemysłowej.

Powracając do niebezpieczeństw. Wydaje się nam, że istnieje jeszcze jedno i to kardynalne, wagą swą zaciemniające znaczenie innych: tym niebezpieczeństwem jest tak częste wśród Polaków pojęcie, że siła wyraża się jedynie siłą materialną. N.p. w konkretnym wypadku ilością samolotów lub ilością linii komunikacyjnych obsługiwanych przez jakies państwo. Tak bynajmniej nie jest. Siła fizyczna jest dopiero wynikiem siły istotnej, dowody tego znajdujemy aż nazbyt liczne w historii polityki morskiej poszczególnych państw. Utrata siły morskiej przez Hiszpanów spowodowana została utratą punktów kontrolnych ruchu morskiego. Anglicy przejęli spadek po Hiszpanii dzięki posiadaniu takich właśnie kontrolnych baz, chociaż nawet po pokonaniu Wielkiej Armady dalej mieli flotę znacznie mniejszą ilościowo niż Hiszpania.

Tak samo rzecz się miała z Francją, która panowania nad morzami nigdy nie mogła uzyskać, posiadając ileż to razy potężniejszą od Anglii flotę — dla tego samego względu. Niemcy nie wysunęli się na czoło potęg morskich w okresie Hansy, gdyż mimo licznej floty nie wysuwały się za Bałtyk i Morze Północne. Wielka Brytania bez jednego okrętu może kontrolować Morze Śródziemne, mając Małą, Gibraltar i Suez.

Znaczenie małej Holandii w świecie oparte było na posiadaniu kluczowych pozycji na Oceanie Indyjskim.

Tak samo będzie z lotnictwem. Mimo na pozór nieograniczonego obszaru powietrza, panowanie będzie zależało od kontroli pewnych baz, na których zbiegają się linie komunikacyjne.

W możliwości takiej kontroli leży istotne rozwiązanie zagadnień. Pozytywnie kontrolną zdawna dał nam Pan Bóg, umieszczając Polaków w Polsce. Umiejętnością życia jest umiejętność mądrego wykorzystywania darów Bożych.

POMOCNICZY CHCIELIBY ODEJŚĆ . . .

Poważne doniesienia powiadają, że pomocnicy Rzeszy chcieliby — iść do domu. Szwedzkie pisma zaznaczają, że Finlandia ma wielką ochotę na zawarcie odrębnego pokoju, ale nie wie jak to zrobić. Położenie Finlandii przedstawia trafnie „Timesa” z dnia 13-go lutego w tym samym duchu, co pisma szwedzkie.

Sprawozdawca dyplomatyczny „Timesa” z dnia 11-go lutego przyniósł ciekawy wywód na temat starań węgierskich u Watykanu. Podobno prymas Węgier, który wygłosił niedawno bardzo śmiałą mowę przeciwko hitleryzmowi, zabiegał w Watykanie o pośrednictwo. Rumunia nie czuje się najpewniej i sądzić należy, że również ogląda się za furtką wyjścia.

Co do Włoch, to umacniają się pogłoski, że jednak Ciano oraz Grandi nie byli najpewniejsi i że nosili się z różnymi zamiarami. To rozpadanie się frontu t.zw. sojuszników Rzeszy jest bardzo znamienne. Teraz jest właśnie wielka sposobność dla aliantów, ażeby ten front rozbić zupełnie. A dla polityki innych państw — starać się już dzisiaj pozyskać wahaających się dla idei przyszłości, idei federacji wschodnio-europejskiej.

Londyn, 15. lutego 1943.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Koła polityczne wszystkich państw alianckich są w tej chwili wysoce zainteresowane problemami lotniczymi, które zarysowują się łącznie z odbudową wojennej Europy. Niewątpliwie świat znalazł się na skutek rozwoju lotnictwa w podobnym punkcie zwrotnym, jak w okresie odkryć podróżników hiszpańskich i portugalskich, okresie pierwszych kroków polityki kolonialnej i komunikacyjnej Europy. Były to kroki nieorganizowane, zależne od przypadków. Geografia świata nie była jeszcze dostatecznie znana, by doniosłość spraw mogła być doceniana przez ówczesnych meżów stanu. Niemiędzy „era nowoczesna” datująca się od dnia odkrycia Ameryki była kolebką polityki mocarstwowej, polityki morskiej przyszłych potęg.

Wzrost i upadek państw stał się pomału skutkiem ich wpływów na morzach. Polska nie brała udziału w wyścigu o władzę nad szlakami oceanicznymi. Od morza odsunęła się sama, uprawiając politykę kontynentalną, zadawalając się jedynie kontrolą lądowych szlaków komunikacyjnych. Tymczasem te szlaki stały się zwolna niczym innym, jak tylko drogami wśród portów. Właściciele portów zaczęli walczyć o wolność dróg i dążyli do opanowania ich za wszelką cenę. Mając morza — byli bogatsi. Mając morza — byli silniejsi. Gdy jakieś drogi stawały się niewygodne, kierowali swe towary innymi. W Polsce naprzód zaczęły chylić się ku upadkowi miasta tranzytowe jak n.p. Lwów czy Wilno, wreszcie zaczęła się chylić ku upadkowi Rzeczpospolita. Odebranie Gdańska przez Prusaków było już tylko gwoździem do trumny.

W tej chwili możliwości tonażowe lotnicze, zasięg i szybkość samolotów, jak również i wzrastające bezpieczeństwo podróży powietrznej spowodowały, że powietrzne szlaki komunikacyjne są równie ważne, jak szlaki wodne. Porty lotnicze niebawem nabiorą znaczenia portów morskich. Na ostatniej konferencji przedsiębiorców transportowych Ameryki, w której wzięli udział również przedstawiciele rządu Stanów Zjednoczonych, wojska i marynarki podkreślono znaczenie transportów lotniczych w przyszłości, zaznaczając, że transport lotniczy nie wpłynie jednak na znaczenie transportu wodnego, czy kolejowego. Niemniej podkreślono, że wobec militarnego znaczenia lotnictwa w przyszłości każdy rodzaj transportu będzie przez lotnictwo kontrolowany. Jest to jednoznaczne z tezą, że komunikacja morska i wyzyskanie szlaków komunikacyjnych zarówno lądowych jak i wodnych będzie tylko

Przyjaciel Polskich Sił Zbrojnych



Dnia 29 stycznia w St. James' Club odbyło się przyjęcie, wydane przez gen. Sir George Cory dla naczelnych osobistości wojskowych Państw Sprzymierzonych. Wziął w nim także udział Naczelny Wódz, gen. Sikorski.

Gen. Cory ustąpił ostatnio z zajmowanego dotychczas stanowiska Szefa Misji Łącznikowej w War Office, na którym oddał Polskim Siłom Zbrojnym niezwykle cenne usługi.

Stanowisko to objął po nim generał dyw. A. E. Grasset.

* * *

Obok reprodukcja fotografii gen. Cory, ofiarowanej Ministrowi Obrony Narodowej, gen. dyw. Kukielowi, z którym wybitny wojskowy angielski blisko współpracował na terenie I Korpusu.

Fotografia zawiera następującą dedykację:

To General Marian Kukiel to remind you of the 2½ years when we worked together for the valiant Polish Army and the Allied Cause—with my sincere regard.

George Cory, Lt.-Gen.

January, 1943.

Armia Czerwona i potencjał wojenny Z.S.R.R.

Dnia 23 lutego b.r. święci armia Z.S.R.R. dwudziestopięćcioletnie swego istnienia. Obchodzi go w pełnym blasku szczęścia żołnierskiego i powodzenia swej ofensywy przeciwko niemieckiemu najeźdźcy. Nie od rzeczy będzie zdać sobie w tym momencie sprawę z potencjału wojennego Z.S.R.R. i z tych czynników natury materialnej i moralnej, które leżą u podstaw tych powodzeń sowieckiego żołnierza.

Z.S.R.R. bez wątpienia jest najlepiej pilnującym swych tajemnic krajem na świecie. Jest to jedna z przyczyn, dla których świat wciąż „odkrywa” Z.S.R.R., a Z.S.R.R. nieustannie sprawia światu niespodzianki, wywracając wszelkie kalkulacje i nadzieje, zarówno wrogów, jak i przyjaciół. Dlatego, chociaż w nieco zmienionym sensie, Z.S.R.R. pozostaje dla świata wciąż tą samą Rosją — „krajem nieograniczonych możliwości”.

Jeżeli więc o potencjale wojennym Z.S.R.R. wrogowie Związku Sowieckiego wiedzieli i wiedzą tyle samo, co jego obecni sojusznicy — to trudno się dziwić błędowi w ocenie sił Z.S.R.R. popełnionemu przez Hitlera, błędowi, który być może zaważył na przyszłej historii świata w sposób nieporównalnie silniejszy, niż błąd Napoleona, popełniony w niemal tych samych warunkach, przy przeprowadzaniu równie ambitnych planów, jak „nowy porządek” Hitlera.

Przemówienia wygłaszane dla żalobnych słuchaczy w Niemczech przez przywódców niemieckich z powodu pierwszej, katastrofalnej porażki w tej wojnie — pod Stalingradem — zawierają niezmiennie pryznanie się, że Niemcy nie docenili Z.S.R.R. jako przeciwnika. Mówią po prostu: „nie przypuszczaliśmy, że Z.S.R.R. może mieć tyle jeszcze ludzi, czołgów, artylerii, samolotów, tyle dobrych dowódców, tyle zdolności organizacyjnych, tyle wytrwałości, tyle bezwzględności w prowadzeniu wojny.” Niemiec, właśnie niemieccy przywódcy stawiają dzisiaj swojemu społeczeństwu za wór do naśladowania *totalność wysiłku wojennego Z.S.R.R.*

Powiedzmy też otwarcie: nie tylko niemieckie kierownictwo zostało zaskoczone obrotem rzeczy na wschodnim froncie. Również opinia w krajach alianckich nie oczekiwiała tak wielkich sukcesów armii czerwonej, które nastąpiły niemal bezpośrednio po ofensywie niemieckiej, gdy armie niemieckie stały już nad dolną Wolgą, Terekem i pod Elbrusem.

Tak więc, potencjał wojenny Z.S.R.R. powszechnie nie był doceniany. Jedni go po prostu nie umieli obliczyć, inni nie chcieli wierzyć nawet cyfrom. Trzeba więc było „niespodziewanych” sukcesów armii sowieckiej w zimie 1942/43 roku, aby wszyscy i wrogowie i przyjaciele nagłe zaczęli sobie здаać sprawę że sowieckie siły zbrojne od lata 1941 r. nie tylko zatrzymywały i wykrwawiały na wschodzie 2/3 całości sił niemieckich — kosztem oddawania najludniejszych i najlepiej zagospodarowanych obszarów Z.S.R.R. — ale że w końcu armia sowiecka potrafi również oddane obszary odbierać z niemierną szybkością, zadając przytem potężne niemieckiej stracie nie do powetowania — w ludziach, materiale, prestiżu i moralu żołnierza i dowódcy.

Sądzimy, że jest to dobra i pilna okazja do namysłu i zrewidowania poglądów na obecny potencjał wojenny Z.S.R.R. Dla nas jako sąsiadów jest to zagadnienie oczywiście ważne, tak samo jak istotny jest fakt, że od 20 miesięcy armia niemiecka główne swoje zmagania prowadzi w ogromnej części na wschodzie. Nie stać nas tutaj oczywiście na wyczerpujące rozważenie całego potencjału wojennego Z.S.R.R., nie stać nas nawet na szczegółowe omówienie jego głównego składnika — armii czerwonej. Na to potrzebowałybyśmy grubego tomu i znacznie więcej danych faktycznych, niż mamy. Ograniczyć się musimy do przedstawienia kilku elementów, które, wydają się nam, najlepiej charakteryzują potencjał wojenny Z.S.R.R., a które są zarazem może najmniej sporne.

* * *

Do tej chwili myśl wojskowa nie zdecydowała się ostatecznie, co jest w wojnie ważniejsze: człowiek czy maszyna, siła czy manewr, jakość czy liczba. Pewne jest, jeżeli chodzi o armię czerwoną, że wszystkie te składniki potencjału wojennego zostały rozwinięte w pełnej mierze.

Liczby określające potencjał wojenny Z.S.R.R. są naprawdę olbrzymie. Trudno zresztą temu się dziwić: Z.S.R.R. obejmuje 1/6 powierzchni całego ładu, a liczba ludności zbliżała się do 200 milionów. W oparciu o takie podstawy można myśleć o rzeczywistości wielkiej armii. Nie ma oczywiście autentycznych danych o ilości wielkich jednostek jakie posiada obecnie armia czerwona. Specjaliści alianccy nie operują jednak cyfrą mniejszą, jak 500 W.J. lądowych i blisko 200 dywizyj lotniczych. Dwie te cyfry dają ogólne pojęcie, z jakim rzędem liczb trzeba mieć do czynienia przy obliczaniu potencjału wojennego Z.S.R.R.

Ogrom obszaru Z.S.R.R., stwarzając szczególnie korzystne warunki operacyjne dla broniącej go armii, a niezwykle trudne dla atakującej. Dywizje, czołgi i samoloty Hitlera po prostu pogubiły się w bezkresach Z.S.R.R. Oczywiście dowódcy niemieccy mogli wybrać zawsze na wielkiej przestrzeni Sowieckiej jakieś t.zw. ważne „cele do osiągnięcia,” a potem zgromadzić siły na kierunku tych celów. Czasami te cele osiągnięto (Ukraina, Wolga), w większości jednak nie (Moskwa, Leningrad, nafta kaukaska, Murmańsk). Zawsze to kosztowało drogo i stale powtarzało się, że osiągnięcie postawionych celów jeszcze o niczym nie decydowało: nie powodowało upadku przeciwnika, nie przynosiło końca wojny.

Na przestrzeni Związku Sowieckiego nie można było uzyskać efektów wojny totalnej, takich, jakie osiągnięto w kampaniach w Polsce, w Holandii, w Belgii, we Francji, czy nawet na Bałkanach. Skala przestrzeni rosyjskiej jest inna; skala ta jest tego rzędu, że najbardziej nowoczesna i szybka armia dotąd jeszcze nie posiada środków potrzebnych do jej opanowania. Nie slyszyliśmy n.p. dotąd, aby bombardery niemieckie dotarły kiedykolwiek do wielkich ośrodków przemysłowych na Uralu, a ośrodki takie i to wcale poważnie znajdują się też znacznie dalej jeszcze na wschodzie.

Nie twierząc, że czynnik przestrzeni był jedynie decydujący w dotychczasowej kampanii niemieckiej na wschodzie, przyznać musimy, że odegrał on wielką rolę, dając czerwoną armię tak potrzebny czas na przetrwanie niepowodzeń i odwrotów i na rozwinięcie olbrzymich możliwości mobilizacyjnych Z.S.R.R. w najszerszym tego określenia pojęciu.

Przestrzeń była i zostanie chyba na zawsze jednym z podstawowych elementów planowania wojennego. Okazuje się jednak, że mapy nie dały dowództwu niemieckiemu dostatecznego pojęcia o przestrzeni Związku Sowieckiego; dowiedziało się ono o jej znaczeniu dopiero w stępkach nadwołżańskich i pod grzbiętami Kaukazu.

Oczywiście, będąc ważkim czynnikiem potencjału wojennego, przestrzeń łącznie z jej trudnymi warunkami klimatycznymi, rzadkością sieci komunikacyjnej i osiedli, była mimo wszystko tylko siłą bierną; w oparciu jednak o nią działała i działa z coraz większym napięciem zorganizowana i kierowana energia ruchowa wielomilionowej ludności Związku.

Dużo jest przyczyn, dla których pełne uruchomienie wszystkich rezerw Związku Sowieckiego, rezerw ludzi i przemysłu wymagało dużego stosunkowo czasu. Nie ma tu miejsca na omówienie tego obszernego zagadnienia, które zdecydowało o takim, a nie innym dotychczasowym przebiegu wojny niemiecko-sowieckiej. Zawsze jest też na wojskowe roztrząsanie kampanii na wschodzie, za mało mamy na to materiałów. Nie znamy też bliżej i nie mamy możliwości obserwacji czerwonej armii. Sądzicie o niej możemy tylko, śledząc na mapie kolejne uporczywe obrony kilku miast, cofania się w lecie, powroty w zimie...

Trudno jednak nie nabrać przeświadczenia o wstępującej sile armii czerwonej. Oczywiście siła jest pojęciem względnym; sukcesy armii czerwonej oznaczają nie tylko wzrost potencjału wojennego sowieckiego, ale i obniżenie tego potencjału u Niemców. Kierownictwo sowieckie słusznie zakładało, że zanim nie uruchomi wszystkich rezerw Związku Sowieckiego, nie pozostaje nic innego, jak tylko dążyć do zużywania sił przeciwnika. Armia czerwona niszczyła przeciwnika przez pozornie bezsensowne, uporczywe, kilkumiesięczne walki w obronie gruzów miast, otoczonych i nie mających już znaczenia operacyjnego, jak Odessa, Kijów, Leningrad, Sewastopol czy nawet Stalingrad. Tu właśnie armia niemiecka traciła za każdym razem setki tysięcy najlepszych żołnierzy, swoje najlepsze dywizje, swoje czołgi i samoloty.

W rezultacie dzisiaj Niemcy na wschodzie są względnie słabsi, niż w chwili, gdy rozpoczęli kampanię sowiecką. Tymczasem Związek Sowiecki, pomimo wszystkich olbrzymich trudności wynikających z głębokiego wycofania się armii na wschód, zdołał przeprowadzić mobilizację swoich rezerw i w obecnej chwili rozporządza zdecydowaną przewagą w ilości jednostek i sprzętu. Przewaga ta trudna jest do obliczenia w cyfrach; bez obawy popełnienia jakiegokolwiek błędu możemy określić ją minimalnie na dwukrotną.

Dotychczas poświęciliśmy nasze rozważania głównie zagadnie-

niu ilości, jako składnika potencjału wojennego Z.S.R.R. O wiele bardziej trudne jest naświetlenie jakości, wchodzi tu bowiem w grę wartości tak złożone, jak kierownictwo, technika i moral.

Nie ma żadnej wątpliwości, że armia czerwona jest armią całkowicie nowoczesną, jeżeli chodzi o jej kierunek organizacyjny i miejsce techniki. Jest ona zarazem całkowicie sowiecka, rosyjska, niepodobna do żadnej innej, jeżeli mowa o jej doktrynie, tradycji, jej obliczu duchowym.

Od początku armia sowiecka zajmuje w państwie takie stanowisko i gra taką rolę w jego polityce i ustroju, że ma do rozporządzenia praktycznie wszystkie środki materialne i moralne, jakimi tylko kraj rozporządza. Nie wydaje się, aby w jakimkolwiek innym państwie na świecie, nawet w czasie wojny, nawet w czasie największego zagrożenia, możliwy był taki totalny wysiłek wojenny, takie skoncentrowanie energii na jeden cel: pobicie nieprzyjaciela. Nie było to możliwe nawet w Niemczech, które — jak wiemy — dopiero obecnie chcą pójść w ślady Z.S.R.R. Taką pozycją wojska, rzecz jasna, daje mu nieograniczone możliwości rozwojowe.

Armia sowiecka, jak całe państwo sowieckie, jest wciąż młoda, wciąż szukająca dróg, gładka, umiająca uczyć się i korzystać z doświadczeń swoich i cudzych.

Zagadnienie wyższych dowódców, tak istotnie wpływające na wydajność armii w polu, zostało rozwiązane bardzo radykalnie: dobry jest ten, kto uzyskuje dobre wyniki. Nic nie znaczą dawne zasługi, długie doświadczenie, wiek, starszeństwo. Ludzie wybijają się na polu bitwy bardzo szybko; ale równie szybko usuwa się ich, gdy przestaną odpowiadać aktualnym wymaganiom. W dziedzinie dowodzenia, a zwłaszcza przygotowania wielkich operacji, zastosowano całkowicie nowe pomysły, jak n.p. delegowanie na miejsce przedstawicieli naczelnego dowództwa. Zdaje się przynosi to dobre rezultaty, jeżeli chodzi o kierowanie operacjami na tak rozległym froncie.

Śmiałość inicjatywy, współzawodnictwo, nowe pomysły techniczne i taktyczne są celowo popierane i rozwijane na wszystkich szczeblach. Zwalcza się rutynę i schematyzm, o które tak łatwo w wojsku a które były podstawą wielu starych armii, w tym przede wszystkim starej armii carskiej.

W związku z powszechnym uprzemysłowieniem kraju armia pozyskała młody i twórczy narybek konstruktorski w dziedzinie uzbrojenia i lotnictwa. Dzięki temu już w trakcie wojny armia wprowadzić mogła dużo nowego sprzętu, niekiedy o niespodziewanych możliwościach, n.p. w dziedzinie artylerii.

Chociaż początkowo zasady dowodzenia i dyscypliny w armii sowieckiej znacznie odbiegały od przyjętych w innych armiach, to obecnie, przypuszczalnie na podstawie doświadczeń, wyposażono dowódców w podobne lub nawet większe jeszcze uprawnienia.

* * *

Na skutek niszczących operacji wojennych prowadzonych od 20 miesięcy wyłącznie na własnym

terytorium, na skutek głębokiego odwrotu armii czerwonej i utraty na rzecz nieprzyjaciela najżyźniejszych i najbardziej uprzemysłowionych części kraju, wreszcie wskutek powołania do wojska kolosalnej masy ludzi — gospodarka sowiecka znalazła się w niezwykle trudnych warunkach. Trzeba oddać tutaj należne kierownictwu sowieckiemu, że mimo tych trudności jest wciąż w stanie dawać frontowi wszystko, co mu jest potrzebne i w coraz większych ilościach.

Nie byłoby to możliwe, gdyby nie zażądano bezprzykładowych ofiar i wysiłku od całego kraju i gdyby tego wysiłku faktycznie nie otrzymano. Nie byłoby to możliwe również, gdyby nie istniało silne i daleko przewidywane kierownictwo, które nie tylko potrafi planować, ale i doprowadzić do wykonania planu mimo piętrzących się trudności. W potencjale wojennym Z.S.R.R. kierownictwo jest czynnikiem któremu należy się największy współczynnik.

W armii kierownictwo to dysponuje szeregiem młodych zdolnych ambitnych, ujawniających duże talenty dowódców. Słyszemy również o teźyżnie młodych wychowanków sowieckiego korpusu oficerskiego.

Przede wszystkim jednak sam żołnierz Z.S.R.R. — Czy nie widzimy pewnej zmiany w jego wartości?

Dotychczas na przestrzeni stuleci żołnierz rosyjski znanym był zawsze ze swych zalet osobistej bitności, wytrzymałości na trudy i z wytrwałości zwłaszcza w walkach obronnych. Zналиśmy go jako masę twardą, nieustępliwą, kładącą się nieraz pokotem na polach bitew bez ustąpienia kroku i nie dziwilimy się trudnościom, jakie mieli niegdyś Fryderyk i Napoleon, a ostatnio miał Hitler z przełamywaniem oporu tego żołnierza.

Obecnie jednak jesteśmy świadkami innego zjawiska. Ruchliwość, giętkość, zręczność Czerwonej Armii w obronie, wywierająca tak potężne wrażenie na Niemcach, błyskawiczność i energia przeciwnatarć pod Moskwą, Leningradem i Stalingradem, a ostatnio rozmach i przeżność ofensywy rosyjskiej każą przypuszczać, że musiało coś narosnąć w wartościach żołnierza sowieckiego. Do swych tradycyjnych cech, musiał on dodać umiejętność prowadzenia walk w małych zgrupowaniach, zrozumienie swej własnej, osobistej roli w boju, samodzielność i zacierpność. Te nowe wartości żołnierza rosyjskiego są niezmiernie ważnym czynnikiem teźyżny Armii Sowieckiej i ostatnim powodzeń Z.S.R.R.

Wszystkie te momenty, z których musimy sobie dokładnie zdać sprawę, wynikają z poczucia narodu i wojska, że Rosja walczy na własnej ziemi i w jej obronie. Ta świadomość leży, zdaje się, u podstawy energicznego i skutecznego kierownictwa, ofiarności młodych dowódców, rozpedu i impetu żołnierza sowieckiego i stanowi najmocniejszą podbudowę pod potencjał wojenny Z.S.R.R.

I właśnie to — obronę własnej ziemi przed najeźdźcą — najlepiej rozumie i najwięcej ceni żołnierz polski, który od wieków broni niepodległości swego kraju i jego granic.

BRONISŁAW NOWICKI

Oddział narciarski Armii Czerwonej pod Moskwą, zdążający na stanowisko bojowe



Z kampanii francuskiej:

Wyciągają mnie ze spania na zabój, ze spania śmiertelnie głębokiego — jak ślimaka ze skorupy. Cztery godziny snu, poprzednie doby również cztery, a dwie doby temu — trzy. To usprawiedliwia chęć sprzedania duszy za sen. Nerwy drą się, szarpia, wrzeszczą z całej rozpacz. W oknach mokre przebliski świtania. Zapotniałe, matowe szyby dopiero błękitnią chorowitym przebliskiem dnia będącego gdzieś strasznie daleko za siódmą górą, za siódmą rzeką.

Zimno. Ciałem trzęsie dreszcz. Naciągam w półśnie koszulę i sweater. Za ścianą domu ludzie hałasują nieoczekiwanie, jak przekrzykujące się przede dniami ptaki. Tulają się jakieś głosy, maćczą się jakieś kroki. Kilka przygarści wody chlupniętej na twarz imituje mycie się. Lustra odbijają słabo jak przez zakopconą szybę niekształtną, niemrawą gębę bez rysów i życia, twarz-koszmara o nabrzmiały, niewyspanych oczach, nadętych policzkach i wargach, zmierzwiłej czuprynie.

Wynurzam się z domu w chłód, siny, zielonawy chłód odległego świtu. Skórzana kurtka na ciełe blefuje ogrzewanie; właściwie jest gorzej niż w tęgi, suchy mróz, gdy ciało jest przygotowane do walki z nim. W marzeniach zamajaczyło od razu wyspanie, wyczerpiecie, gimnastyka, chłodny prysznic, gorąca herbata. Pomyślałem jak bardzo wszystko to, co myślimy o świecie jest zależne od naszych doznań subiektywnych. Niech bym wszedł w ten poranek z ciałem wyczerpanym i już pracującym pełną parą, z ciałem gorącym od kipiącej krwi. Pisał bym wtedy: „Matowe srebro rosy wiatało chłodem rzeźkim i zdrowym, który zapala w ciełe iskry energii. Bładawe zorze świtania, nie zgwałcone jeszcze ostrością promieni dobrze nastraiły umysł do skupienia się przed dniem. Piały koguty, ich głosy biegną jak sygnały życia, które już idzie mocnym krokiem do przebudzenia, które trzeba chwycić i brać pełną piersią w siebie.”

Trzęsąc się na ciężarówce wyobrażam sobie ten entuzjizm życia, który jako niechęć jest w tej chwili dla mnie głupi i śmieszny. Jest on taki, jak dla cynika uniesienia młodości. Mój realny nastrój obecny to jest jakaś bezcelność, bezosobowość i koniecność. Matowe srebro rosy promieniuje zdradliwie, chorobliwie wilgocią. Słabe zorze świtania pograżają świat w uporne, wodniste światło, a pięjące koguty szczydzą z głupich ludzi, głupszej od nich wojny i najgłupszego życia.

Jedziemy na odległe o kilka kilometrów lądowisko, by stamtąd wystartować nad front. Lotnisko zasadnicze jest niedaleko, lecz ponieważ dziesiątego maja Niemcy pokazali jak należy bombardować, wykazując również, jak nie należy rozstawiać samolotów na lotnisku, rozprowadzamy teraz od kilku dni nasze maszyny w pola.

Patrzę na towarzyszy wyprawy i to pogłębia mój niesmak w stosunku do siebie samego. Prawdopodobnie wyglądam gorzej od nich, a oni... Trzeba wyobrazić sobie kota, którego w śnie oblaną wodą. Nosi im się dziwnie wydłużały, a sierzańtowi Buklaszko, który jest drugim obok mnie Polakiem w tym gronie, wisi pod nosem duża kropla wilgoci. Buklaszko wygląda jak bocian. Prąd powietrza rwie lodowatymi strugami po bokach mknącego samochodu. Ponaciśkami berety na uszy, nastawiliśmy kołnierze kurtek; niektórzy zamykają oczy jakby w nadziei, że przez to osłabiają bolącą rzeczywistość.

Ze mną ma lecieć Buklaszko i sierżant Le Court. Prowadzę klucz. Mamy startować w dziewięć maszyn nad Belgię. Leci również paru oficerów francuskich, ale całość poprowadzi sierżant, który mieszkał dłuższy czas w Belgii i dużo nad nią latał. Przybył do dyonu niedawno; ma jakieś dziwne, nie do zapamiętania nazwisko.

Ciężarówka nie dojeżdża do maszyny; brniemy przez wysokie lubiny i konieczne. Nogi od kolan w dół — woda.

—Cholera — mówi Buklaszko — żeby nieskręcałaś dali choć durny kubek gorącej kawy. A nasze maszyny to zataszczyli aż tam.

Rzeczywiście, tu gdzie była moja ósemka, jest dwójka Bardina.

Już gramoli się do niej i wyczynia coś z pasami siedzeniowymi. Do słoica jeszcze ciągle daleko, ale skowronki dzwonią tak zapalczywie i pracowicie, jakby miały w tym niesłychanie doniosły cel. Myślę, że może nawet mają, ale niemożność odcyfrowania tego dziwnie mnie denerwuje. Bo jeżeli skowronki mają cel, to który cel jest bardziej bliski prawdy, nasz ludzki, czy ich ptasi? A jeżeli to robią bez celu, to kto mi udowodni, że my ludzie mamy również jakiś cel poza atawistycznymi nakazami. Może to te nakazy przetransformowane na perfidną i wielowymiarową przestrzeń cywilizacji oba amucują nas prawdami, z których każda jest bańką mydlaną.

Takie myśli zwracają mi teraz głowę. Teraz, gdy mam za chwilę lecieć. Co za głupstwa! Lubiny na szczęście się skończyły. Gdyby ciągnęły się jeszcze dłużej, umysł wysnułby zaraz coś niemądrego na ich kanwie. Zadzroszczę Buklaszko — przyjmuje świąt jako lamusa z rzeczami dobrymi i ujemnymi. To nie mężczyźni i jest cudownie młodziwie. Skowronki śpiewające zauważył również:

—Rzepoła, jakby im kto za to płacił — mrucnął. Po chwili jednak zmartokniał i dodał łagodniej: — Jak w Polsce, całkiem jak w Polsce.

Dochodzimy do swoich gratów. Szeroko podwoziowe „Morany” jak ciężkie, otyle szczupaki powpierały się kołami w ziemię. Porównanie naciągnięte. Otyłego szczupaka nie widziałem, ale wyobrażam sobie patrząc na „Morana.” Za nami gdzieś o kawał przestroni po rosie już krzyknął jeden i drugi silnik. Błękitne dymy długimi kitami poszły po zieleni.

Włażę w pasy spadochronowe. Myśli przestają dokuczać długim logicznym łańcuchem; stają się szybsze i oderwane. Dziś jest czternastego maja. Te dolne pasy w spadochronie są stanowczo za długie; miałem je skrócić wczoraj i znowu zapomniałem. A z tej wody w butach będzie katar.

Mechanik, chorząy Makusiński zapuszcza silnik. Jakto dobrze mieć polskich mechaników. Siada się do kabiny, jak do salonu. Wszystko blizszy i lśni się; nie ma mowy, by ździebelko śmiecia wylegało się niepokojone w zakamarkach armatury. Zupełnie inaczej niż na maszynach Francuzów. Tam, gdy się zatrzyma samolot na plecach; wór rupieci bucha w oczy. Dlatego ka dy samolot obsługiwany przez Francuza należy przed użyciem przedmuchać. Idzie się, przypuścmy, na dwa tysiące metrów i na pełnym gazie, z otwartą kabiną zjeżdża się w kilku sekundach do tysiąca. W tym krótkim czasie obserwuje się ciekawe zjawisko. Strumień śrubek, gumowych złącz, sznurków, grud błota przelatuje koło człowieka wiszącego na pasach, jak z gardzieli śmietnika. Raz jakiś klucz do odkręcania śrub wyrzyna mię w brodzie. Dwa dni potem bolą.

Makusiński nie zapuszcza silnika, lecz celebrytuje jego narodziny do pracy. Wystarczy popatrzeć na jego twarz czujną, lecz spokojną. Od razu się wie, że silnik takiego mechanika będzie posłuszny, jak dziecko.

W kabine sprawdzam światła kolimatora. Chcę, by mi usunęto trochę rosy z szyby. Pasy przypięte mocno, tak jak lubię. Makusiński zbadal już poprzednio magneta; jego uszy teraz chwytają głos pracy na dużych obrotach. Twarz wyraża przyzwolenie i zaufanie. To oddziaływanie na pilota lepiej, niż długa gadanina. Zanim podniesie się temperatura oliwy mam trochę czasu. Dobrze jest wykorzystać go poświęcając mapie.

Mamy lecieć w okolicy Namur. Kurs 84°. Front był wczoraj gdzieś pomiędzy Liège a Namur. Gdy naciskałem wczoraj oficerowi informacyjnego, by podał dokładniej, zrobił bolesną minę. Chciał bezwzględnie pomóc, lecz nie mógł:

—Wszystko co wiemy to, że biją się gdzieś na zachód od Namur. Możliwe, że jutro rano będzie już walka o samo miasto. Ale to są oczywiście tylko moje przypuszczenia.

Liège... Namur... Labirynt kolei, szos i kanałów. Wykluczone żeby ktoś dał temu radę przez czy-

tanie mapy. Kurs powrotny 266°. Ba! ale jeżeli pójdziemy w bok? Czy się orientować bardziej na południe czy na północ? Które partie terenu są bardziej charakterystyczne? Już myślałem o tym wczoraj, ale umysł był zmęczony i nie chciał pracować. Myślałem, że rankiem pójdzie lepiej. Poszło gorzej. Dojrzałem trudności, których przedtem nie było.

Bukaszko daje znak ręką, że jest gotów. Le Court tak samo. Pierwszy klucz wyrolowuje, brzdąc za sobą podmuchem młode zboża i trawy. Słońce jest jeszcze gdzieś bardzo daleko, ale blask świtania rośnie w oczach. Nad nami czysty błękit, lecz na wschodzie tam gdzie mamy lecieć, leżą chmury.

Przewodnik ze swoim kluczem daje gaz. Wyciągają się, pełną przywarle brzuchami do ziemi. Nabraly oddechu. Prują teraz nosami powietrze, weszczą za oporem. Runęły jak pociski w dół z małego pagórka. Werznąły się w powietrze. Zostały w nim. Chowają podwozia, śmigają ponad ziemią, jak obłe kamienie, rzucone silnym ramieniem na początku swego lotu.

Drugi klucz idzie na piętach pierwszego. Teraz moja kolej. Lekceważę wiatr, bo jest niemowleco słaby. Makusiński z resztą swojej brzygady salutuje. Trawy uciekają pod skrzydłami. Zaczynają płynąć. Rosa z pod śmigła bije na wiatrochron. Zamgliło go zupełnie.

Przewodnik z pierwszym kluczem odleciał daleko na południe. Nie rozumiem dlaczego tak daleko. Wystartowałem na wschód. Gdy zrobi wiraż w lewo powinien mnie od razu zobaczyć. Robi wiraż. Wiem, że musi mnie widzieć. Przechodzę na ogon za klucz drugi. Możemy lecieć.

Lecz zamiast przyjmować kurs na wschód, robimy okrażenie nad lotniskiem. Jest to zwyczajnie stosowany podczas lotów ćwiczebnych, w obecnej chwili zupełnie niepotrzebny. Po jednym okrażeniu przychodzi drugie. Co u licha! Zaczynam rozumieć. Prowadzący przegapił klucz porucznika Leblanca, który idzie za jego kluczem jak cień, mój klucz przyjął za klucz drugi i czeka teraz na mój start. Możemy tak czekać do dnia sądnego.

—Hej, Leblanc — myślę — wyjdź bracie na zewnątrz, bo ten bęwał ciebie inaczej nie zobaczy. Widocznie jednak Leblanc nie rozumie o co chodzi i idzie dalej na piętach pierwszego klucza. Krążymy jak ostatni głupcy poraż chyba piątą. Osieć minut. Zaczynam się denerwować. Jak można tak głupio kraść czas i benzynę.

—Hej, policz no, ślepa wrono, samoloty na ziemi. Było ich razem dwadzieścia, teraz jest jedenaście. Może policzył w końcu, mo e zobaczył klucz Leblanca w lusterku, bo nagle zamachał z radości skrzydłami i wszedł na kurs. Było to jednak w dziesiątej minucie od startu.

Kląłem w czambuł jego spostrzegawczość i spryt. To od razu podcina zaufanie. Bezkrtycyzm jaki powinien być w stosunku do przewodnika diabli wzięli. Już nie pójdz za nim na ślepo w dym i mgłę. Już moje zmysły są nastawione do polegania wyłącznie na sobie.

Na ziemi tu i ówdzie w kotlinach, nad łąkami, lub w pobliżu rzek przyziemne mgły. Wygląda to tak, jakby ktoś ponarzucał plamy z płowego i srebrnego atlasu na dywan o prostokątnej, popręcianej gęsto liniami, mozaice. W miarę jak posuwamy się w kierunku naszego celu czyni się coraz ciemniej, tak jakby się wchodziło z zarośli do gęstego lasu. Plamy atlasu na dole coraz gęstsze jednoczą się w skupiska, rozlewają coraz szerzej. Mozaika już zginęła. Ziemia przegląda przez rozlewisko mgieł wysepkami złudzeniami. W górze ponad nami wysokie baranokowate chmury.

Lecimy w szyku dość luźnym. Wysokość 300 metrów. Przewodnik ze swoim kluczem w dole. Leblanc wyżej po lewej, mój klucz najwyżej po prawej. Maszyny płyną jak we śnie; nie ma najmnie szych zaburzeń. Mo na ster puścić zupełnie. Po czasie orientuję się, że zbliżamy się do granicy belgijskiej.

Mgły przyziemne ustępują, lecz



Eskadra „Montpellier” przed odejściem

widoczność się pogarsza. To co ściele się pod nami w dole jest chropowata skóra, zbrudzoną i zmiętą. Na tym pooranym, skopanym igrzysku włóczą się dymy. Chmury górne schodzą coraz niżej; dotykamy prawie grzbietami ich palupa.

Raptownie przenika mnie lekki prąd. Coś się dzieje. Jeszcze nie wiem, nic nie widzę, lecz jestem pewien, że COS GDZIEŚ już przysła. Klucz Leblanca wygląda na zdenerwowany. Co to! Zwiększają gaz. Buklaszko z mojej lewej zaczyna się spieszyć także.

Nagle iskra zapala się w świadomości. Duże szare wrzeczono pomyka z północy przecinając naszą drogę. „Dornier”. Jest dość daleko przed nami, lecz niżej. Widzę jak Leblanc wysuwa się zdecydowanie ku niemu. Rzut oka w górę. Wydaje się, że niespodzianek nie ma. Mam nad Leblanciem przewagę wysokości i jestem dalej w prawo; powinienem dojeść wcześniej. Daję sygnał swoim i ładuję pełen gaz. Lecz zwierzyzna już dostrzegła. Ustawia się lekko pod horyzont i wieje co ma siły. Leblanc zostaje w tyle; przestrzeżni pomiędzy nim a Niemcem wyciąga się jak gumowa nitka. Ja mam przewagę wysokości; to mi pozwala wysunąć się na czoło.

Gdy jednak znalazłem się na równiej wysokości z „Dornierem”, odległość zastyga. Mija minuta, dwie; pomiędzy mną a nim jest ciągle pół kilometra. Odchodzi na południe. Moi zostali daleko; Leblanc zaniechał pościgu. Nie ma rady; nie dogonię. Ze straszonym żalem, klnąc konstruktorów „Morana,” zawracam. Niemiec, który się dobrze pocili, musiał teraz odetchnąć. To pogłębia złość.

Całe szczęście, że przewodnik leci teraz na małym gazie. To daje mi możliwość szybkiego dopędzenia grupy. Zajmuję znowu swoje miejsce pomiędzy Buklaszką a Le Courtem. W przodzie po prawej wyrastają szare obłoczki. Strzelają do nas. To znaczy, że przybyliśmy na miejsce.

Przebijamy warstwy jakichś cienkich nawisów z błędnych, rozlaných chmur. Czyni się coraz ciemniej. Skręcamy lekko w le-

wo. Jakaś szersza grupa obłoków odchodzi do tyłu; z poza niej ukazują nowe grzyby pocisków na naszej drodze. Równocześnie wypadają z prawa słońce. W dole czarna otchłań, dymy z wielu płonących miast i wsi. Ognie trwałe i wybuchające co chwila. Na tyściu metrów zgęstnienie dymu jak fale morza. Nad tym niebo niesamowite, białe jak papier. W luce słońce krwawe, słabe i pograżające ziemię w jeszcze większą otchłań mroku.

Było to szatańsko groźne i mallowanie; niewiarygodne, lecz prawdziwe. Gdyby mi pokazali poprzednio coś tego rodzaju na ekranie, lub obrazie, powiedziałbym o autorze, że maluje pod wpływem wyrafinowanych narkotyków.

Zaczynają grać w nas coraz celniej. Grzyby wyrastają bliżej. Maszyny zataczają się, przelatują jedna obok drugiej w niepokojącej bliskości, wpadają w chmury, wyskakują jakby bies prowadził to wszystko. Ani mowy o utrzymaniu jakiegosi porządku. W pewnej chwili całość wrzyna się w chmury. Wpadam pod takim samym kątem i kierunkiem.

Po wyjściu nie widzę żadnego samplotu. Wracam nad chmury. To samo. Krąży. Obok mnie w prawo jakaś awionetka. Co u licha robi awionetka na wojnie? Aha! Teraz widzę, zajął się nią już jeden „Moran.” I jedno i drugie zatacza łagodne kregi. Przystępuję, że chcą się wzajemnie rozpoznać. Podchodzę bliżej. „Moran” dojrzał mnie i woła skrzydłami. W skrócie miga na kadłubie dziesiątka. Buklaszko. Ale awionetka urosła i przemówiła wyraźnie kształtami „Henschla 126.”

—Hej, bij, zabij! — szarpie rączkę od gazu, lecz Buklaszko jest bliżej. Widzę jak podchodzi w skrócie. Teraz strzela — myślę. „Henschel” zwala się na skrzydło i wchodzi w chmurę. Wolam na Buklaszkę i stawiam samolot sztorcem. Wyje.

Ale chmury zdmuchnęły piorunem. Gdzie, gdzie? — szukam. Nic. Pusto. Z ziemi biegną do mnie sznurki korali. To działka

Lotnictwo Polskie

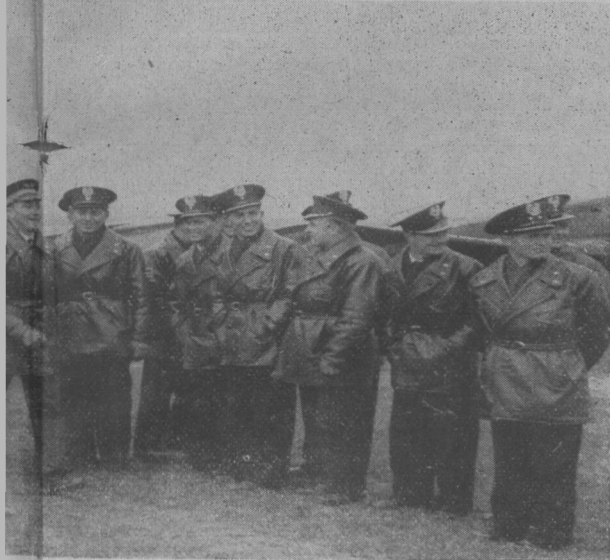
Według umowy pomiędzy rządem polskim a francuskim miały być sformowane we Francji: 6 dyonów myśliwskich, 4 dyony współpracy, 2 dyony bombowe.

W wykonaniu tego został uruchomiony w styczniu 1940 w Montpellier pierwszy kurs przeszkoleniowy dla polskich pilotów myśliwskich, w liczbę 20 zwani popularnie „Eskadry Montpellier” odeszli 26.III.40 na front podzieleni kluczami pomiędzy 6 dywizjonów francuskich. Mieli oni odbyć tam frontową praktykę i po 3 — 4 miesiącach wejść z powrotem jako jedna eskadra w skład polskiego dywizjonu myśliwskiego. Wszyscy piloti zostali wyposażeni w nowe samoloty Moran 406 i nowy ekwipunek. Przed odejściem na front odbyła się w Lyonie wzruszająca uroczystość odprawy pilotów przez generała Si-

korskiego, oraz dekoracja ich przez władze francuskie odznakami pilota. Na skutek krótkotrwałości działań bojowych we Francji piloci tej eskadry pozostali przez cały czas w jednostkach francuskich, poczem po zawieszeniu broni różnymi drogami przywędrowali do Anglii.

Jednostka	Stan pilotów	Samolot
Klucze frontowe	39	Moran 4 Bloch Curtis 7
Dyon 145	33	Coubron Cyclon
„Kominy”	64	Moran Bloch Curtis 7
RAZEM:	136	

W DYMACH NAMURU



odejściem na front — Lyon 26 marca 1940

przeciwlotnicze. Pociski czerwone, jak krwawe jagody nanzane na niewidzialną nitkę w doskonale równej od siebie odległości. Wzbijają się fontanną. Można śledzić każdy z koralii w przelocie. Nagle podmuch. Grzyby w prawo, w lewo. Nowe źródła koralii. Tańczą dookoła, obramowują.

O pół kilometra na wschód i niżej ode mnie jakiś inny "Moran." Co on robi i skąd się wziął? Wałę do niego także. Rozpętało się piekło. Ziemia szaleje, wyrzuca ognie, setki ogni. Odtwarzam w myśli szybką kolejność czynności, jeżeli trafią: Kabina — raz, pasy — dwa, przewrócić na plecy — trzy.

Zamiatam sterem. Samolot wyczynia desperackie skoki, susy, skręty. Uciekam na zachód, lecz prowadzą mnie długi w ogień. Wkońcu dobiegam do zbawczej chmury. Przebiwszy ją, oddycham. Lecz co robić dalej? Hej, czy mnie oczy nie mylą! Awionetka znowu. Stary lis zmżył mnie i Buklaszkę. Dał nura w chmury i wynurzył się znowu, a my jak głupcy poszliśmy w ogień.

Porywa mnie złość myśliwego, którego zwierzyzna wyprowadziła w pole. Zaczynam zachodzić od słońca, ale wtedy dostrzegam wyżę ode mnie w prawo dwa samoloty. Nie są to jednak "Morany." O do diabła! Dlatego stary lis jest taki zuchwały. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że dwa samoloty, to "Messerschmidty 109." Czy mnie widzą? Co się stało z resztą moich? Nie poszli jeszcze chyba do domu?

"Messerschmidty" coś spostrzegły i spikowały poza chmurę. Lis ukrył się znowu za jej parawanem. Słońce z krwawego robiło się różowe. Cała przestrzeń pomiędzy ziemią a pierwszym pułapem chmur zionęła mrokiem, pośród którego od czasu do czasu błyskały ognie wybuchów. Górne piętra pułapu promieniowały niesamowitą, skoncentrowaną różowością. Gdy byłem małym chłopcem, ktoś wylał na moją różową akwarelkę szklanę wody. To była właśnie taka pełna w sobie, skoncentrowana różowość. Na wierzchu różowego płynu pływał paperek w kształcie

guzika z napisem: "Iskra i Karmański." Wspomnienie śmieszne. Nigdy przedtem nie wyłoniło się z pamięci. Nigdy. Dopiero trzeba było tego lotu, tych chmur i tego słońca. — Iskra i Karmański — mówię sam do siebie, patrząc na zbałwanione jezioro różowości. Czyham na lisa. Poznałem jego taktykę. Wynurzał się z chmur, jak z nory, chwytając obserwację, może robił zdjęcia, i uciekał znowu do nory. Nabieram wysokość żeby mieć szersze pole obserwacji. Jak tylko wyjdzie, uderzę na niego.

W miarę jak się wznoszę, różowość rzędzie i żółknie. Wyżej nad nią aż do wysokiego papierowego pułapu górnych chmur wszystko wypełnia srebrno-zielona poświata. Gdy w letni dzień da się nurka do wody, nad którą rosną gęste drzewa, wrażenie jest podobne. Poświata pod słońce staje się mżąca i polyskliwa, w kierunku na zachód mroczniejsze i zagęstnia się jak galareta.

Od wschodu i niżej idą jakieś samoloty. Trzy... cztery... pięć. "Morany." Idą wprost ode mnie. Na tle chmury coś zamajaczyło. Awionetka? Nie. Inny "Moran." Jakiś pustelnik tak, jak i ja. Nad "Moranem" grzyby. Strzelają na słuch. Pustelnik zobaczył piątkę i bierze kierunek na nią.

Wtedy z chmur wyłazi ostrożnie lis. Najpierw przemignął lekko pomiędzy jedną a drugą warstwą, wyskoczył na krótko, jak wystrzelona torpeda po pierwszym nurku, pogładził płatami powierzchni i oto już płynie w zielonej poświacie, odchodząc od chmury. Trafił w sam środek pomiędzy pustelnika a piątkę. Dostrzegli go od razu wszyscy. Byli bliżej ode mnie.

Pustelnik wykonał raptowny skok i odciał mu drogę do chmury. Piątka rzuciła się, do wyjścia od ataku. Dla mnie okazja stracona. Nie dojdę przed nimi do strzału w żaden sposób. Zabiorą mi moją zwierzyne. Kilka spojrzeń naokoło w górę. Papierowe podbiecie górnego pułapu bez skazy.

Wracam uwagą do akcji w dole. Lis w desperackiej spirali schodzi w mrok rosnący z ziemi. Żeby widzieć dalszą zabawę, muszę spikować, bo kształty zamazują się już

i zacierają w ośmie. Jeden ze ściągających podszedł z tyłu od dołu i wykańcza atak świecą. Teraz musi strzelać. Przeszedł blisko; zdawało się, że się zderzą. Nic. Żadnego skutku. Niemiec kręci i wywija się ciągle. A oto drugi "Moran" wypracował sobie pozycję. Czekam skutków. Znowu nic. Któż teraz będzie atakował?

Nagle, co to? Lis zamiast schodzić dalej w dół pod os onę artylerii, robi looping. Jest to tak niespodziewane, że mnie poraża. Czy mi się nie sni? Po loopingu zaczyna lecieć znowu pod ostrym kątem w górę. "Morany" krążą jak jastrzębie nad zającem. Rozumiem. Ten samolot nie jest już prowadzony ręką pilota. Ciągnie jakiś czas, nie dochodzi do zawiązania loopingu, lecz zastęga beżwładnie w niebie. Szybkość wygasa w oczach. Jeszcze wisi na silniku, lecz to już ostatnie siły. Wyraźnie wbija się w oczy tragiczne, rozpaczliwe rozkrzyżowanie ramion samolotu w zupełnym bezruchu dziobem w kierunku nieba. Jest to ostatni krzyk, ostatni sygnał.

A oto siła ciężkości już działa. Samolot zwał się na skrzydło, okręca się zwolna raz i drugi dookoła swojej podłużnej osi i porwany spazmatycznym wirtem korkociągu wije się w nim do ziemi. Nad samą jej powierzchnią ginie w zamęcie dymu i mroku. Po sekundzie z kierunku gdzie zginął, bucha gejzer ognia.

Zbieramy się do kupy; dwóch jeszcze brakuje. Jednym z brakujących Buklaszko. Czy aby go nie zestrzelili. Po pierwsze nie podobał mi się ten "Moran" w ogniu artylerii a po drugie dwa pikujące "Messerschmidty." Kto drugi — nie wiem, w każdym razie ktoś z pierwszego klucza. Le Court już mnie zauważył i dołącza.

Idziemy znowu w górę, pniemy się z niebezpiecznego mroku na wysokość pierwszych chmur, z poza których w każdej chwili może wypaść niespodzianka. Orientuję się nie według terenu, lecz raczej na czucie, że Namur pozostał gdzieś na południu-wschód od nas. Zegarek wykazuje pół godziny pracy nad odcinkiem. Pójdziemy tam chyba jeszcze.

Wchodząc nad chmury, spychając je coraz głębiej pod siebie ma się uczucie osiągnięcia coraz większej przestrzeni do rozpedu. Coraz szerszy oddech i swobodniejsze oko. Lecimy jak przypuszczaliśmy pod kursem około 50°. Różowość znikła. Słońce jest duże i żółte, lecz skąpe jakby tkwiło swymi promieniami w zupełnie innym świecie, skąd przychodzi tylko odbłask. Chmury wiążą się ze sobą ramionami rozlewisk. Ich wierzch nabiera światła; pod spodem wisi mrok gęsty i czerniejący w miarę jak idziemy wyżej.

Gdzieś daleko, daleko po prawej jakieś samoloty. Idą dość wolno na południe. Ma się wrażenie, że bombowce. Nasze drogi są rozbieżne; bliższych szczegółów na wzajem o sobie się nie dowiemy.

Zataczamy koło. Podbiecie górnego pułapu pali się biłą jak ośnieżone górskie szczyty. Potęguje to wrażenie rozpiętości przestrzennej. Wymiary rozciągają się; biała kopuła nad głową odchodzi w niewymierną wysokość i dalekość. Staje się tak daleka, że przerasta przypuszczenia i proporcje. Jest niezrozumiała w swym ogromie i wroga.

Po kilku okrążeniach wyciągamy się w gończą sforę i pikujemy w rozpadlinę pomiędzy dolnym pułapem. Muskamy przeblyskiem ich powierzchnię; mignęła przed oczami jak tafla wody, zamknęła się nad głową zabierając światło. Jesteśmy znowu w mroku jak w skrżyni z rzadkimi szczelinami. Wodniasto żółte promienie biją z nich smugami, jak reflektory. W dole niepokojąca, zagadkowa cisza. Nie chodzi o wrażenia słuchowe, bo silnik pracujący eliminuje je do potężnego szumu, którego nie przebijają żadne głosy. Tam na ziemi jest cisza w tym znaczeniu, że nic nie widać, nic się nie dzieje, nie ma ruchu, ani błysku. Ciemno. Nasuwam okulary na oczy i otwieram kabinę. Może tak będzie lepiej. Ciemno. W dole na czarnej powierzchni ziemi /nie pamiętam bym widział ją kiedyś tak nieplastyczną/ z trudnością można wyłowić jakieś zarzysy.

Zamykam kabinę i zsuwam okulary z powrotem. Jeszcze prostota
© Musées de Grasse, Alpes-Maritimes

padle coś nieco się widzi. Dalej wskos wszystko ukryte za gęstym zamgleniem. W nosie wierce woń spalenizny. Nadlatujemy nad jakieś miasto. Skąd przyszło nie wiem. Dojrzałem najpierw ogniska pożarów, potem odkryłem pomiędzy nimi szachownicę ulic. Przechodzimy ponad węzłem stacyjnym. Czarny słup dymu strzępi się w olbrzymie kłęby. Równoległość nitek szynowych potargano. Dalej na wschód pola popstrzone od kraterów. Jeszcze dalej raptowne, urwane błyski artylerii.

Wypadamy na polanę światła. Jest to rozdarcie się chmur w górze. Miedziany blask wisi w powietrzu jak pył. W kwintesencji tego pyłu pływa słońce papierowe jak górny pułap. Ściany powietrznej studni tworzy przestrzenna mgła z cieniami dolnych chmur i warstwami dymów.

Trzy duże samoloty pełzną pod nami w kluczu. "Heinkle." Prowadzący daje sygnał. Powtarza Leblanc. Powtarzam ja. Idziemy z miejsca do ataku. Pozycja niedogodna: z góry, z przodu. "Heinkle" trójkami nie chodzą. Wypatruję, czy nie będzie więcej. Nie widać. Dziwnie! Idziemy poskikami. Huk powietrza rozcinanego kadłubem. Sylwetki rosną. Ci z przodu przejeżdżają się po ich głowach.

Zamykam gaz. Umieszczam środek kolimatora na drodze czołowego. Pędzi ku niemu. Wytrzymać... wytrzymać. Jeszcze nie. Uwaga! Guzik. Ba... ba... ba... ba... ba... ba. Cel szedł z poprawki. Puściłem guzik. Ba... ba... ba... ba... ba... ba. Poszła seria z działka w powietrze. To spusty pneumatyczne w "Moranie" działające z opóźnieniem marnowały amunicję.

Idziemy pod tym samym kierunkiem dalej. Nikt nie odpowie na pytanie, co stało się z "Heinklami." Jeżeli któryś został spuszczone, to także nikt nie odpowie, kto go zestrzelili.

Maszyny gnają na pełnym gazie. Nie rozumiem po co. Polana miedzianego blasku została w tyle. Jesteśmy znowu w kołysce mroku, jak w głębokiej dziurze. Powietrze pełne nierówności i prądów. Samolot zrywa się z nośności przepada i podskakuje na przemian. Zawisam na pasach lub jestem wgniatały w siedzenia.

Kilka mniejszych pożarów w dole. Samotny dom w szczyrim polu płonie jak kupa chrustu. Dziwnie; co komu z takiego domu. Przed dziobem wyskakuje miotła srebrnych nitek. Fosforówki z karabinu maszynowego. Brutalny skręt jeden i drugi. Trzeba się mieć na baczności. Jesteśmy prawdopodobnie poza frontem po niemieckiej stronie. Wysokość 600 metrów. Zaczynam spostrzegać samochody pancerne na drogach.

Chmury nad głową stają się zwarte i gęste. W przodzie przed nami schodzą coraz niżej jednocząc się z mgłami przyziemnymi. Już kilka płacht otarło się o nas; zanosi coraz bardziej. Skręt do tyłu w prawo. W przodzie migoczą snopy promieni przebijające chmury. Lecimy tam. Wysokość 1000 metrów.

Nagle przednie maszyny wpadają w zamieć ognia; aż czarno od dymu z pocisków. Równocześnie biją smugi działek szybkostrzelnych. Maszyny pryskają w prawo, w lewo, lecz pociski rwą się wszędzie. Wkrótce jesteśmy zasypiani, obramowani z boków, z dołu, z góry. Korale pędzą strugami, biją z dołu jak deszcz, którego kierunek odwrócono. Nie ma mowy o oglądaniu się na prowadzącego lub poprzednika. Ratujemy się każdy na własną rękę. Wybuchy bliżej, diabelnie blisko. Uwaga, pamiętać! Kabina — raz... pasy — dwa... przewrócić na plecy.

Powietrze — czyste szaleństwo. Przeszczeni wże i kipi popstrzona kłębami dymu, pocięta w pasy ognia. Z góry przyszło znowu niesamowite, miedziane światło. Spycha ono ziemię w szalejącą niewidoczność. Pogubiłem towarzyszy oprócz jednego. Idzie w kierunku zbitym do mego. Wygląda, że wyrwał się z zasięgu pocisków. Kawalek czystego nieba leży nad nim jak upragniona wyspa. Działa to sugerująco. Zmierzamy tam obaj. Wkrótce mogę przeczytać numer na kadłubie tamtego. Dwójka Bardina.

słyszę huki. Ma szczęście Bardina — za długie. Lecz co to! Z samolotu tamtego przyskają jakieś szczapy, odułtują kawałki. Bucha dym przesłaniając cały płatowiec — Skacz! — krzyczę w myślach. Pierwszy raz w życiu widzę tak blisko samolot plonący w powietrzu. To przeraża. Mdle uczucie w ustach. Przecież tam siedzi człowiek, żywy człowiek. Na Boga, czemu on nie skacze!

Wybuch. Tam gdzie silnik — jądro czerwonego ognia. Prawe skrzydło odleciało. Kadłub z resztą wykrecą niesamowitego łamańca i wchodzi prawie na pionowy, zawijany tor. Z pionowej zagwi odrywają się strzępy płomieni. Gdy gasną, stają się kawałami opierzenia. Płomień stanowi głowę długości dziesięciu kadłubów. Za nim długa kita: czarnego dymu. Przyrostem oczami od płomienia. Czekałam na chwilę, kiedy ujrę spadochron. Czekam daremnie. Płomień wjeżdża w ziemię.

Wałę do mnie, ale rzadziej, niż przedtem i niecieleń. Wymiguję się i biorę pełny zachód. Jestem znowu sam. Trzymam się na wszelki wypadek tuż pod chmurami. Nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie jestem. Jeżeli się nie zorientuję w tej gmatwaninie komunikacyjnej, trzeba będzie pchać się do morza.

W miarę jak posuwam się na zachód, widoczność się polepsza. Nadlatuję nad jakieś miasto. Kupa charakterystycznych linii. Robię okrążeń i zniżam się do 600 metrów. Charleroi — bezsprzecznie. Poczujęm się od razu tak pewnie jakbym był już w domu.

Gdy wchodzi na kurs do swego lotniska, z przodu z lewej obsypują mnie koralami znowu. Te pierwsze, które zaskoczyły były najgorsze. Mignęły tuż koło skrzydła. Poniosło mnie w kabinie. Co za idiotyzm! Co za durnie! Być zestrzelonym przez własnych. Krywam im przyjacielsko skrzydłami. Przecież dziecko z tej wysokości powinno rozpoznawać barwy alianckie. Nie pomaga. Grzej jak do nieprzyjaciela. Najchętniej bym pułnął w nich resztką amunicji, która pozostała. Uciekłem, ale napsuli mi krwi nie mało. Po wyładowaniu złożyłem meldunek, że artylerzyści belgijscy nie umieją odróżnić samolotów francuskich od nieprzyjacielskich.

Robi się wczesny ranek. Tu i tam pracownicy ludzie wychodzą mu naprzeciwko. Samoloty nasze pomalu się zbierają. Wyładowałem drugi, potem przyleciało jeszcze dwóch, potem jeden. Reszta siedzi na sąsiednich lotniskach; dolecają po uzupełnieniu benzyny.

Operacyjny dyon jest przejęty moim meldunkiem, wymyśla na Belgów i dzwoni do sztabów. Rosła jeszcze lśni się na trawie. Niebo jest pogodne i dzień będzie ciepły.

— Idźcie spać — mówi dowódca. — Po południu czeka znowu robota.

Wyciągam materac na trawę. Gdy leżę na nim w słodkim bezwładzie mięśni, mży mi się przed oczami prawda i nieprawda, sen i rzeczywistość. Tamto co przemięło jest teraz tak dalekie, tak odrebne od tego świata złotego słońca, szmaragdów trawy, że jest niezrozumiałe jak sen, którego sensu nie potrafie odgadnąć. Wdycham czyste, słodkie powietrze. Błękit nieba jest tak spokojny i jasny, jak z dziecinnych obrazków. Jak tu uwierzyć, że zaraz za ścianą tego, prawie w dosięgu ręki leży tamten inny świat płomieni i grozy.

Gdy budzę mnie na obiad jestem wyczerpany, choć rozespany. Dzień zaczyna smakować i wino smakuje także. Gdy go pijemy w ciszy i w niecodziennym skupieniu, wchodzi operacyjny i zwraca się do wszystkich.

— Artyleria pod Charleroi nie była belgijska.

— Niemożliwe — padają głosy. — Niestety nie ma ani cienia wątpliwości. Był to silny podjazd niemiecki, choć Namur podobno jeszcze się broni.

Jeszcze nie przetrawiliśmy, nie rozgrzyliśmy tej wiadomości, gdy w drzwiach pojawia się inny oficer. — Żona porucznika Bardina telefonuje. Co powie? — Zalega przykre milczenie. — Że list jest w drodze — odpowiada głucho dowódca dyonu.

STEFAN ŁASZKIEWICZ

skie we Francji

10.V.40 został sformowany 145 myśliwski na samolotach Coudron-Cyclone ponadto w czasie od marca do czerwca 1940 odeszło dalszych 16 myśliwskich kluczy na składzie 3 — 6 pilotów bądź na front, do jednostek francuskich, bądź do obrony czułych punktów w kraju.

Samoloty	Zwycięstwa	Straty
Coudron-Cyclone	29	3
Messerschmidt	12	7
Coudron-Cyclone	14	5
Messerschmidt	55	15

Klucze obrony krajowej z tego względu, iż były przydzielane przeważnie w rejonach przemysłu wojennego dostały oficjalną nazwę "Kominy."

24 maja 1940 został sformowany dywizjon bombowy, który osiągnął gotowość bojową w połowie czerwca 1940 i nie wziął żadnego udziału w akcji.

Działalność lotnictwa polskiego we Francji ogranicza się zatem wyłącznie do lotnictwa myśliwskiego. Z dużej ilości pilotów myśliwskich zaledwie 136 wzięło udział w akcji bojowej. Wyposażeni w sprzęt wielokrotnie gorszy od sprzętu przeciwnika, jak Moran 406, Bloch i Coudron-Cyclone walczyli zwycięsko odnosząc piękne sukcesy i zyskując uznanie francuskich kolegów. Zaledwie kilkunastu otrzymało w czerwcu 1940 Devoitiny i Curtisy 75, które choć jeszcze nie dorównywały Messerschmittowi 109, były jednak o klasę wyższe od sprzętu posiadanego poprzednio.

Kontakt Polaków z Brytyjczykami, obserwowany pilnie przez nas w obecnym objeżdżu po Anglii i Walii z przedstawieniem "Polish Panorama" — nadaje się jedynie do bardzo szczerzego i bardzo otwartego omówienia. Są w tym niewątpliwie jasne, są i ciemne strony; blackout trzeba jednak odkryć z jednym i drugim, gdyż sprawa jest ważniejsza, niż by pozornie mogło się komuś wydawać.

Jak wspominałem w poprzednim felietonie, zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, że obecnie, jeszcze raz w tej wojnie, daliśmy się opętać perfidnie zorganizowanej piątej kolumnie. Działa ona z różnych punktów, strzela różnokolorowymi, zatrutymi pociskami, wśród których niestety przy baczniejszej obserwacji znajdziesz najbardziej nieoczekiwany kolor.

Wydaje się, iż jest już najwyższy czas do zupełnego jasnego zorientowania — w wszystkich Polaków, że komuś bardzo zależy na męczeniu i zatruciwaniu wody u źródła przyjaźni polsko-brytyjskiej. Ciągną do tego źródła różne wyprawy piątej kolumny, często im się udaje, czasem przegrywają lub w ogóle nie dochodzą. Niestety, w ostatnich szczególnie czasach, dawki trucizny są poddawane, na gwałt wzmacniane, a sukcesy "strzelnicze" poważne.

Wielu z nas ma nadzarcnięte nerwy, wielu trapi niezaspokojona ambicja, innych jakieś drobne, ale wyolbrzymione żale, niemotywowane uprzedzenia. Poważną rolę gra czasem także typowe poczucie mniejszej wartości. Jakżeż to sumie podatny grunt dla rozwinięcia trucielińskiej działalności?

Nasza gadatliwość nie mająca chyba — poza woską — równą w świecie, nasza słowiańska skłonność do wynurzeń, szczególnie przy kieliszku, nasza chęć wygadania się, wyzalenia — to niewątpliwie elementy sprzymierzenia w rękach piątej kolumny. Uderzyła ona w te najstarsze właśnie, najczulsze strony polskiej natury. Wykorzystała doskonale — szczególnie w ostatnich czasach — wszystkie słabostki naszych nerwów, uprzedzeń czy załamania.

Musimy się opamiętać i musimy się przeciwstawić. Jeżeli nie zorganizujemy się w tej sprawie solidarnie, przedziękajmy sobie, grozi nam utrata poważnego dorobku naszego w tej wojnie: przyjaźni brytyjskiej. Do tego celu zmierzamy nie kłując się doborem środków różnokolorowa — o wielu twarzach i mackach — piąta kolumna na tułszej wyspie. Zna ona dobrze

Bez black-outu

ścieżki i "chody" polskie, a ponieważ nie napotykała na poważny opór, przeciwnie na przeważliwione, podatne obiekty, poczyniała sobie bardzo zuchwale sądząc, że jeszcze raz się nie domyślimy, że jeszcze raz się uda.

Wprawdzie domyśliliśmy się narazie, ale udało się jej, udało się piątej kolumnie bardzo wiele. Nie może udać się więcej! Tu właściwie kończy się działanie propagandy, a musi się zacząć działanie zdrowego rozsądku. Kraj nasz, który poważnie liczy na kontakty z Brytyjczykami, nigdy by nam nie wybaczyl naiwności i lekkomyślności, którą wykazujemy w tych sprawach.

Oprócz działania piątej kolumny, wyszukującej nasze przeważliwienie niewątpliwie poważną rolę w narażaniu na szwank przyjaźni polsko-brytyjskiej odgrywają czasem różnicę temperamentów kontynentalnych i wyspiarskich.

Niewątpliwie "złą krew," która może być wykorzystywana przez piątkę kolumnę — robią różne mniej lub więcej poważne "gaffy" naszej lub ich służby informacyjno-prasowej. Przyczyną

konkretny przykład: jeden z polskich dywizjonów myśliwskich brał niedawno udział w wyprawie dziennej nad Francją jako ostona bombowców. W drodze powrotnej wyprawę zaatakowało kilkadziesiąt Focke-Wulfów, z którymi Polacy przyjęli nierówną walkę strącając 3 maszyny niemieckie i tracąc 4 własne. Z bombowców brytyjskich i amerykańskich, ostanianych przez polskie myśliwce, przepadła tylko jedna maszyna. Jakież było zdziwienie polskich uczestników wyprawy, gdy wieczorem w "newsie" brytyjskim usłyszeli: "w dniu dzisiejszym siły powietrzne brytyjskie i amerykańskie brały udział w rejdzie dziennym nad Francją, przy czym strącono 3 myśliwce niemieckie." O Polakach ani słowa. Taki błąd wywołuje uzasadnione poczucie krzywdy i rodzi głęboki żal.

Nowością w metodach piątej kolumny jest tym razem jej uderzenie frontowe, dawniej operowała zwykle na tyłach, teraz obrała metodę judzenia i zatruciwania współpracy w polskich jednostkach walczących. Oczywiście nie należy sprawy uogólniać. Nie twierdzi-

my, że wszędzie tak jest, wiemy, że w wielu, w ogromnej, przytłaczającej ilości wypadków współpracy z Brytyjczykami w jednostkach bojowych układa się jak najbardziej harmonijnie. Jednak S.O.S. w tej sprawie wydaje się w chwili obecnej konieczne.

Piąta kolumna ukula, jak zwykle, gotowe wzorcowe opowiadania i gadki antybrytyjskie. Nie wiadomo n.p. kto jest autorem przewisk, nie zawsze bardzo miłych, które podsunęło Polakom na określenie Brytyjczyków jak: "dżemofady," i t.p. Nie wiadomo, ale łatwo się domyśleć, kto bardzo pilnie podsuwa typowe opowiadania o tym, jak to Anglicy "wyrwijają" w niebezpieczeństwie, a Polacy za nich nadstawiają głowy. Jak często, aż do znużenia, powtarza się stara bajeczka o tym, jak to "Anglikańcy nas już teraz sprzedają, a naprawdę wykiwają po wojnie!"

Inflacja tych i podobnych bajek wydaje się dziwnie nateżać, przybierać na sile w związku z pewnymi wydarzeniami na frontach, w związku z echami, jakie te wydarzenia budzą w Wielkiej Brytanii. Z jednego i drugiego powinniśmy sobie zda-

wać sprawę w sposób spokojny, bezstronny, sprawiedliwy. Wtedy zamierzony efekt piątkowej kolumny napewno chybi celu.

Nie wystarczy jednak zająć tylko stanowisko obronne, nie wystarczy wodpornić się na niesprawdzone wersje i plotki, ale trzeba podjąć możliwe natychmiast — ofensywe na odcinku zaścienniania kontaktów z Brytyjczykami. Trzeba szczerze — jak to dziś próbujemy zrobić — odkryć przed nimi nasze obserwacje, podzielić się uwagami, mówić bez ogródek o naszych obawach i spostrzeżeniach i razem z nimi ustalać plan działania w tych bardzo delikatnych sprawach. Popykają oni fajeczki, zamysłają się, powiedzą po chwili: "Well," może nic więcej, ale napewno będą ujęci naszą szczerą postawą.

Do takiej szczerości zobowiązuje nas cały okres długich miesięcy, które nastąpiły po czerwcu 1940 roku, gdy "dżemofady" na rozkaz Winstona podływały do brzegów Francji, by zabrać na pokłady okrętów Jego Królewskiej Mości Polaków, którzy nie mieli odwrotu, a przed sobą tylko morze. "Dżemofady" szły po nas pod bombami, w grozie okrętów podwodnych, na pokładzie witaly nas usmiechem i dobrym ludzkim słowem. A gdy załamani i bardzo smutni lądowaliśmy w portach Wielkiej Brytanii, "dżemofady" podniosły na pociechę kić do góry — thumbs up — na znak, że wierzą w zwycięstwo.

O tych dniach roku 1940 musimy pamiętać. To zobowiązanie honorowe. Niewątpliwie nie przyjechalibyśmy na tę wyspę tylko po to, by się wadzić i... planować. Polacy dali z siebie dużo, bardzo dużo, czasem ponad miarę. Ofiarą życia lotników, marynarzy, tych, którzy już nigdy do Polski nie wrócą, jest bezcenna, zastuga tych, którzy żyją i walczą dalej, nosząc na piersiach wysokie oznaczenia brytyjskie — oto ciche spłaty honorowego długu przyjaźni. Spłaty regularne: co dzień idą do walki polskie dywizjony, co dzień wyprawy na morze polscy marynarze.

Napewno dobrze wie o tym ten sam Winston, który stał po nas okręty, napewno wie o tym i pamięta cała Wielka Brytania. Wierzymy, że pamiętać będzie w chwilach decydujących i że przy naszej najgorętszej współpracy, nikt nie zdoła zatruci czystych źródeł tej przyjaźni, która rodziła się w chmurnym, trudnym roku 1940.

MARIAN HEMAR

WIKTOR BUDZYŃSKI

BALLADA O STARSZYM STRZELCU

Przed nagłą ulewą
Schronił się pod drzewo
Starszy strzelec John Howard Swift.
Królowa Mary jechała,
Zatrzymała samochód, spytała:
May I give you a lift?

Thank you — powiedział lance-corporal
John Howard Swift w samochodzie —
Rozpadało się chyba
Na dobrych kilka dni.
Trochę jeszcze mówili o deszczu.
I w ogóle, o pogodzie.
Potem królowa rzekła:
Pojeżdż do mnie na cup of tea.

Sorry — powiedział lance-corporal
Z zakłopotaną miną —
Spieszę się. Umówiłem się
Na spotkanie... z pewną dziewczyną.

To bardzo ładnie —
Rzekła siwa królowa —

Że ci ważniejsza twoja
Dziewczyna i twoja umowa.

Gdzie cię podwieźć? — To już tam, za rogiem,
Druga brama. Tu? — Dziękuję, tak.
Good-bye — powiedział żołnierz. Good-bye —
Powiedziała królowa Mary — good luck.

* * *

Sam jestem starszym strzelcem,
Jak John Howard Swift, mój kolega,
I jak tłum innych. Wiem o czym
Myślmy, w tym naszym tłumie —

Demokracja, /tak czasem
Myślmy/ nie na tym polega,
Że starszy strzelec jest także
Człowiekiem. Bo to się rozumie.

W naszym znaczeniu, głębokim
W naszym znaczeniu, dalekiem —
Demokracja polega na tym,
Że król
Jest także człowiekiem.

CZY CZAS NA REWIZJĘ POGLĄDÓW O MURAWIEWIE?

Groza obecnej wojny, a w szczególności nateżenie przesładowań, jakie dotknęły naród polski, sprawiają, że jesteśmy skłonni nieco inaczej wartościować dzieje martyrologii polskiej dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Czysta cmentarna noc epoki paskiewiczowskiej nabrała dziś innego wymiaru w zestawieniu z zupełną likwidacją polskiego życia kulturalnego w kraju. Walka Bismarcka z Kościelcem tak się ma do eksterminacji polskiego życia religijnego dzisiaj na ziemiach inkorporowanych, jak się ma liberalny wiek dziewiętnasty do bezwzględności państw totalnych wieku dwudziestego.

Ale w tej zmianie oceny przesładowań polskiego życia politycznego i kulturalnego w ubiegłym wieku powinniśmy zachować umiar, nie wpaść w przesadę, nie próbować wybielać tego, co się żadną miarą wybielić nie da. I czego o więcej — wybielać nie ma żadnej potrzeby. Te myśli nasuwały mi się, gdy przeczytałem artykuł p. Zygmunda Nowakowskiego "Dwa dzwony" w nr. 5 "Wiadomości Polskich."

Gdy czytam w tym artykule, że w czasach emigracji polskiej dziewiętnastego wieku "wszyscy okupanci, bo nawet i Rosjanie, odznaczał się w porównaniu do swych dzisiejszych potomków liberalizmem, kulturą uczuciową, wyrozumiałością i innymi cechami humanitarnymi" to w tej chwili stają mi w myślach jakże liczne fakty brutalności tej polityki ujawnione przez studia Askenazego, Kucharzewskiego, Krzemienieckiego, Korzona i zadać sobie muszę pytanie, jaki pozytywny cel może mieć próba rehabilitowania polityki Rosji carskiej na ziemiach polskich.

Bo jeśli można się zgodzić z sędem p. Nowakowskiego, że polityka szkolna Nowosilcowa jest umiarkowana w zestawieniu z atakiem Niemców na kulturę polską, to trzeba jak najostrzej zaprzestować przeciw zbyt pośpiesznie ferowanemu rozgrzeszeniu dla działalności Murawiewa. P. Nowakowski utrzymuje, że Murawiew "na całym swym kilkonastoletnim koncie miał znacznie mniej wyroków śmierci, niż ma ich w ciągu miesiąca jakiś polakaty szef

policji w byle powiatowym miasteczku polskim podczas tej wojny."

Wbrew temu mówią fakty. Działalność Murawiewa na Litwie przyczyniła się ogromnie do zniszczenia siły ludnościowej żywiołu polskiego, a w szczególności jego warstwy szlacheckiej. Szubienice, deportacje, konfiskaty majątków, wysiedlenia ludności na Sybir stanowiły wówczas zjawisko tak masowe, że były powiaty, w których wyginęła cała młodzież szlachecka. Zwłaszcza dotkliwie tepl Murawiew drobna szlachę zasiał jako element o wypróbowanym patriotyzmie. Z takich zaścianków wypędzano ludność, wście palono, zgłiszczano zaorywano, skazanych wraz z rodzinami wywieszano na Sybir. Przybrało to tak olbrzymie rozmiary, że rosyjski ministerstwa wojny, spraw wewnętrznych i dóbr państwowych nie mogły sobie dać rady z tym zagadnieniem, a ministrowie zwrócili się do Murawiewa z prośbą, by nie wysyłał nowych skazańców do Rosji, bo brak im już dozorców.

Czyż trzeba przypominać bezwzględną walkę Murawiewa z księżką polską i litewską /n.p. litewskie palono masowo w Wilnie/, z językiem polskim w szkole, teatrze, w życiu codziennym. Przecież przybierało to tak groteskowe formy, że nawet w ustępkach były napisy tej treści: "zdień po polski goworit zaprzeszczajetsia."

Walka z polskością zainicjowana w tej skali na ziemiach litewsko-białoruskich przez Murawiewa, nie skończyła się z nim samym, trwała aż do roku 1905, kiedy pierwszy raz pod naciskiem ruchu rewolucyjnego musiały trochę zelżeć. Wystarczy się wcztać w karty korespondencji Orzeszkowej, która ukazała się tuż przed obecną wojną, by zdać sobie sprawę z rozmiarami szkód i strat, jakie poniósł żywioł polski wskutek działalności Murawiewa. Przecież wśród pokolenia dziś żyjącego jakże wielu jest Polaków z tamtych ziem, których dziadowie na skutek zrytek Murawiewa znaleźli się na Sybirze. Brückner w jednej ze swych książek tak określił generał-gubernatora

Murawiewa: "Był to Mongoł z pyską, sadystą z temperamentem, "wieszacz" z urzędu." Próbować dziś bez żadnego uzasadnienia pomniejszać zbrodniczość jego działalności jest pomysłem dość dziwacznym. W obecnych stosunkach polskorosyjskich wybielenie Rosji carskiej jest postępowaniem, które trudno nazwać poważnym.

Ryszard Małski

Z NOWEJ ZELANDII

Wielmożny Panie Redaktorze, Myśl napisania do Pana poddał mi prof. Wodzicki. Celem obecnego listu jest danie folgi memu szczeremu entuzjazmowi dla Pańskiej gazety. Służę coppersą w armii Nowozelandzkiej, bo dla jednego czy dwu Polaków trudno było utworzyć specjalną formację, ale niemniej uważam się za "żołnierza polskiego na obczyźnie" i wobec tego "Polskę Walczącą" za "swój" organ. Nie będę się bawił w prawienie banalnych pochlebstw i chcę dać tylko wyraz swemu szczeremu przeświadczeniu, że lepszej gazety żołnierskiej obecnie na świecie nie ma.

Może zainteresuje Pana fakt, że przed wstąpieniem do wojska pracowałem jako inżynier-chemik w Dunedin, który słusnie czy niestusnie uchodzi za Edynburg południa i wobec tego służę w pułku prawie

czysto szkockim. W mojej jednej kompanii karabinów maszynowych jest pięciu różnych MacLeodów a innych Maców co niemiara. Wobec tego zrozumiałe jest moje szczególne zainteresowanie dla warunków, w jakich żyje armia polska w Szkocji i chciwie czytam wszystkie artykuły w "Polsce Walczącej" traktujące o tym przedmiocie.

Oczywiście Dunedin i prowincja Otago w Nowej Zelandii, chociaż założone i rozbudowane przez emigrantów szkockich i zasilane wciąż jeszcze spora ilością Szkotów nie mogą być utożsamiane ze Szkocją prawdziwą, co się chochy uwidacznia w faktach, że nie whisky, lecz piwo jest tu naszym narodowym trunkiem. A szkoda, bo obraz stosunków polsko-szkockich, kreślony w pismach polskich jest taki budujący, że czasem bierze mnie chętką stania się swoim własnym antypodemem, t.j. zn. znaleźnieniem się nagle gdzieś w Glasgowie lub "somewhere in Scotland." Nie znaczy to jednak, abym czuł się nieswojo wśród tutejszych Szkotów.

Surowe zakazy udzielania jakichkolwiek informacji dotyczących sił zbrojnych i stosunków w obozach nie pozwalają mi pisać o przeżyciach wojskowych, mam wrażenie, że mogłbym napisać już, po niespełna rocznym doświadczeniu sporą książkę, ale chyba nie popadnę w konflikt z cenzurą, jeśli zaznaczę, że żołnierz tutejszy jest niewyjątkowo kalibru, dobry do wybitki i dobry do wypitki, nie znający mechanicznej, ślepej dyscypliny — przypuszczam, że doprowadziłby wkrótce do rozpaczy najbardziej cierpliwego zawodowego polskiego sierżanta — ale inteligencją, inicjatywą i zaradnością nie ustępujący żadnemu chyba żołnierzowi na świecie. Jeżeli kiedyś — a może to wnet nastąpić — znaję się w ogniu, trudno by mi było życzyć sobie lepszego towarzysza broni, ale w obozie czuję się czasami nieco obcy i osamotniony.

Staram się przy pomocy prof. Wodzickiego z pewnym powodzeniem przegawgać znajomość Polski wśród

moich komilitonów; niektóre broszury wzbudziły zainteresowanie podobnie, jak i książka Pruszyńskiego "Polish Invasion," która mnie osobliście mocno rozczerawiała, bo po tym zdolnym publicyście można by się było spodziewać czegoś więcej, niż słabego naśladownictwa Maurois.

Ale z tego, co się u was pisze, jest niestety nieprzetłumaczalne lub nieprzetłumaczalne. Do tej kategorii zaliczam między innymi przebiegłe "Melodie szkockie" Ligockiego wydrukowane w kwietniowym, o ile się nie mylę, numerze "Polski Walczącej" z r. 1941 i wiele dalszym za to, gdybym mógł te dwa wiersze, jak również jego, "Birnanski Las" odezwać swoim kulturalniejszym znajomym w kongenialnym przekładzie. Ale to prawie niemożliwe, więc mogę tylko gratulować w duchu staremu żołnierzowi i poecie — bo musi on chyba już być nie pierwszej młodości — którego druga z kolei emigracja nie tylko nie złamała, ale przeciwnie natchnęła do wycierńw nieporównanie lepszych od jego całej poprzedniej twórczości.

Kresle się z głębokim szacunkiem.
Leon Hartman

KOMUNIKAT

Urząd Oświaty i Spraw Szkolnych, 3, Grosvenor Square, W.1 /od 15 stycznia 1943 — Buckingham Palace Mansions, Buckingham Palace Road, S.W.1/ organizuje w czasie od 1 marca do 31 maja 1943 r. trzymiesięczny Kurs dla kandydatów na Inspektorów Szkolnych.

O przyjęciu na Kurs ubiegać się mogą:

1/ Kierownicy i nauczyciele szkół powszechnych, posiadający kwalifikacje dodatkowe,
2/ Kwalifikowani nauczyciele szkół średnich ogólnokształcących i zakładów kształcenia nauczycieli, którzy pragneliby poświęcić się pracy w administracji szkolnej.

Głoszenia przysyłać należy do Urzędu Oświaty w terminie do dnia 21 lutego 1943 r.

Ilość miejsc ograniczona. O przyjęciu na Kurs oraz o terminie rozpoczęcia wykładów zostaną kandydatci powiadomieni oddzielnymi listami.

HAVE YOU ANY
SKIN TROUBLE?

ST. JAMES' BALM
ANTIVIRUS OINTMENT

DESTROYS GERMS
AND PREVENTS THEIR DEVELOPMENT
Send for FREE SAMPLE

MEDICO-BIOLOGICAL LABORATORIES Ltd
CARGREEN ROAD, LONDON, S.E. 25

© Musées de Grasse, Alpes-Maritimes

Z życia obozów

Polska Y.M.C.A. "motoryzuje" muzykę



Kolega Baczyński zapowiada imprezę

— No, jeżeli już i ci dostali sprzęt, to chyba wszyscy niedługo pojedziemy za wodę—zauważył wychodzący z kantyny jakiś gонец, gdy wysoki wehikuł wjeżdżał na podwórze gmachu dowództwa Korpusu. Napis srebrny na ścianie pojazdu głosił: Wózek muzyczny Polskiej Y.M.C.A. w służbie Armii Polskiej.

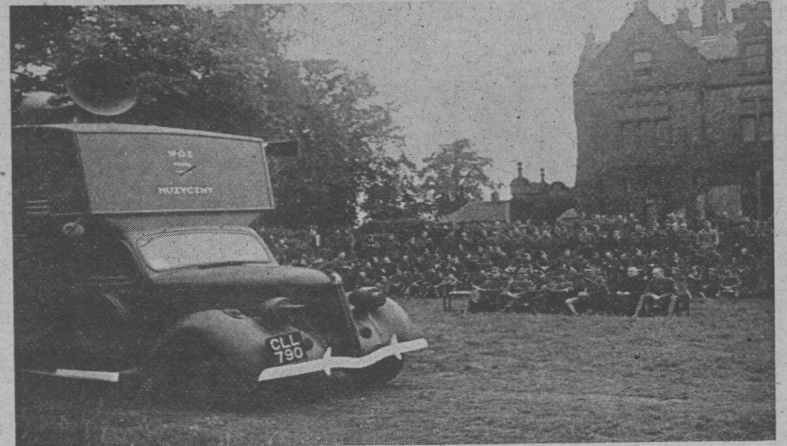
Była właśnie przerwa obiadowa, więc wkrótce zgrupowała się dokoła spora grupa ciekawych. Wózek ustawiono frontem, jedna ze ścian nagle opadła i oczom widzów ukazała się miniaturowa scena, z kurtyną. W głębi stało śliczne, nowitkie pianino i kilka taboretów dla "załogi." Po chwili zmontowany już był aparat do odtwarzania płyt, których przywieziono wielki zapas, na dachu znalazły się dwa potężne głośniki, a dowódca "grającej budy" Szczepan, z niemalym tryumfem wyniósł mikrofon i rozpoczął próbę instalacji. Główny "boss" Majchrzak zdjęty leciutką tremą, przepowiadał sobie w kacie powitalne przemówienie. Pierwsze przedstawienie naznaczone było na godzinę 3-ą po południu. Jakby na "zamówienie" jednak słońce pięknie wczesnonajesiennego dnia zmoczył chmurki i szkocki deszczyk zaczął pracować skrapiać przybłąkłą już zielen drzew i trawy. Za chwilę znowu zabiły słońce, ale mimo to "dyrekcyjna" z niepokojem spoglądała na niebo w obawie, czy pogoda wytrzyma. Na polanie ustawiano tymczasem krzesła i

wielkiej życzliwości i troskliwości o potrzeby kulturalne żołnierza polskiego. "Oby ten wóz jak najprędzej ruszył z gościnnej ziemi szkockiej na "tamten" brzeg, ku naszym stronom rodzinnym." General wyraził potem wdzięczność wypróbowanemu przyjacielowi Polaków Paulowi Superowi, "który pewnie teraz myśli o tym, aby podobnie jak w r. 1918. w ślad za wojskiem polskim dotrzeć do Polski i wznowić swoją piękną pracę, którą przerwała wojna."

Następnie ks. prałat Michalski poświęcił wóz, po czym przyszła kolej na artystyczną część inauguracji. Zabrzmięły tony poloneza Chopina, którym odtąd rozpoczynać się będą wszystkie imprezy wozu muzycznego, podobnie jak kończyły je będzie stale utwór Moniuszki. Okazało się jednak, że cierpliwość i kurtuazja szkockiej pogody już się wyczerpały, widocznie—jak zauważył Dowódca Korpusu—deszcz chciał także mieć swój udział w poświęceniu, wobec czego wóz podjechał nieco dalej, a widownia biegiem zmieniła "miejsce postoję", lokując się pod koronami dwóch olbrzymich buków, po czym przerwane przedstawienie potoczyło się dalej.

Pianino "zainaugurowało" jeden z podchorążych, po czym na małej scenie pojawiła się czwórka "Lwowskiej Fali": Majewska, Budzyński, Wieszczyk i Hausman, przystąpiły nową ogromną harmonią. Nie było miejsca na scenie na cały zespół, przybyła jednak na uroczystość inauguracji wozu "reprezentacja" zespołu dla podkreślenia serdecznych węzłów, które łączą dzisiejszą Czołwękę Teatralną z Y.M.C.A., która pierwsza na emigracji zorganizowała zespół i wysłała go do obozów internowanych żołnierzy w Rumunię.

Po sentymentalnych "piosenkach szczęśliwych dni" odśpiewanych przez Władę, przyszła kolej na humor. Przed tym



Pierwsze przedstawienie w cieniu drzew

jednak Budzyński zadedykował na scenie piosenkę, poświęconą dobrej "Cioci Y.M.C.A.," co to po zakończeniu ubiegłej wojny hojnie i serdecznie:

"... do Polski przysyłała Miód, kakao, cukier, jam Znal ją żołnierz, znalazł ją cywil I wspomina zawsze mile Dobre serce, które w ciężkich czasach Pomagało nam.

A w tej wojnie, patrzcie-oto Jeździ znowu, jest już "moto" Motorowo-kantynowa Cwiczeniowo—k.e.d.

Ma już wiele na swym koncie Teraz śni o drugim froncie A więc teatr ma na kółkach Na Kontynent jechać chce:

Ciocia Imka, ciocia Imka Deszcze, upał, wichry, stota, czy zadymka Czy przez Szwecję, czy przez Włochy, czy przez Dieppe Pójdzie z piosnką aż do Polski Wioząc miód i chleb."

Po góralsku mówił później Wieszczyk, a po warszawsku pana-wiechowany stylem Szczepan, Hausmanowa harmonia "rozśpiewała" widownię, nawet deszcz ustał definitywnie i po

goda zapanowała nad światem. Od tego dnia inauguracji wysoki, niesłusznie podejrzywany o "wywrotność" wózek muzyczny Y.M.C.A. jeździ niemal bez przerwy po Szkocji. Odwiedził "żniwiarzy" i "kartoflarzy" pomagających gospodarzom przy uprzężaniu zbiorów, był w domu żołnierza w Edynburgu, u inwalidów w szpitalu szkocko-polskim, woził "wesołą piątkę" wileńskich śpiewaków, przybyłych z Rosji do dziesiątków oddziałów wzbudzać nieklamany podziw dla wytrzymałości... resorów.

Pełniła też "grająca buda" Y.M.C.A. bardziej "liniową" służbę używana do utrzymywania łączności w czasie większych ćwiczeń wojskowych. Przeskakiwała wtedy mężnie bruzdy i zapadliny szkockich ugorów, przechodząc w ten sposób "zaprawę" do swoich przyszłych zadań, gdy przyjdzie czas ruszyć "za wodę."

W głębi muzycznego wozu Y.M.C.A. na pianinie stoi w ramki oprawna fotografia Paula Supera. W dniu rozpoczęcia pracy wozu złożono tam wiązanek kwiatów, jako dowód wdzięczności żołnierzy. Ale może niedaleka już jest chwila, kiedy trzeba będzie wstawić do wozu dodatkowe krzeselko, na którym zasiądzie pan Paul i ruszy do Polski, jako przednia straż wiernej Imci, "wioząc miód i chleb."

LUDWIK BOJCUK

Zdjęcia wykonała Sekcja Filmowo-Fotograficzna.

Wózek Muzyczny Polskiej YMCA za czas od 21 sierpnia do dnia 31 grudnia 1942 r.

Table with columns: M-ce, Wykonano (Muz., Lit.), Imprez (Muz.-lit., Razem), Ilość widzów, M.p., Inne, Pokazy, cwiczenia.

* w czym 12 imprez w świetlicach lotnicznych Polskiej YMCA

Rok temu pełniliśmy służbę konwojową w północnych obszarach Atlantyku. Jak wiadomo, w okresie zimowym, ta część oceanu nie jest zbyt miła, a żegluga tam do przyjemnych zaliczyć nie można.

W czasie sztormów, zwaly chmur pokrywają niebo, wicher wygizduje dzikie melodie, wyciskając lzy z oczu i utrudniając obserwację. Szwały z deszczem, śniegiem lub, co gorsza z gradem, hulają swobodnie, jak gdyby chcą jeszcze bardziej uprzykrzyć życie znudzonych załogom. Szczególnie daje się we znaki grad, dochodzący do wielkości gołębiego jaja i lecący z szybkością kilku, a nawet kilkunastu metrów na sekundę. Pewnego razu, mając na głowie grubą wehnia kominiarkę i nieprzemakalny kapelusz, tak zwana "südwestkę," nie mogłem znieść uderzeń gradu i musiałem zasłonić się hełmem.

Gdy ciśnienie barometryczne się podniesie i panuje t.zw. dobra pogoda — fala częstokroć pozostaje nadal przykra. Jedyne siła wiatru spada i widoczność robi się wspaniała. Niebo przybiera piękny, błękitny, jakby śródziemnomorski kolor, pokrywa się z rzadka różnokształtnymi chmurkami, kłębiastymi lub kłębiasto-deszczowymi. Te ostatnie przelatują nad bezimiarem wód, rosą deszczem lub gradem. Czasem taki deszczowy, śnieżny lub gradowy szkwalik przedzie o kilkadziesiąt metrów, nie dotknąłszy okrętu ani jedną kropelką, ani jednym kryształem. Było by niecisłością nie wspomnieć o warstwach różnej gęstości mgły, układających się na drodze intruzów-okrętów.

W nocy natomiast, przy bezchmurnym niebie, pięknie świeci Zorza Polarna. Pół nieba pulsuje jasnym drgającym światłem, przedstawiając widok nadnatu-

Suchary zamiast opłatka / Wigilia Bożego Narodzenia na "Błyskawicy" /

ralny, jakby wyjęty z bajki rysunkowej.

Prowadzimy konwój do Wielkiej Brytanii — statki z wojskiem. Właśnie na jednym z nich jedzie pierwszy transport ochotników do polskich sił zbrojnych, z Kanady. Wieje sztormowy wiatr i ocean odycha ciężko, marszczy powierzchnie w potężne bruzdy. Niebo całe zakryte nisko roznutymi chmurami, a zamglony horyzont zmniejsza widoczność do paru zaledwie mil morskich. Całość raczej ponura i niegościnna.

Nadomiar wszystkiego złego statków S/S "C" wlece się niezdarnie i ciągle zostaje z tyłu. Obawiamy się poważnie, że przy tak słabej widoczności możemy go zgubić. Jak się okazało obawy nasze były całkowicie uzasadnione, gdyż po północy stwierdziliśmy brak tego statku. Martwił się maruderem i wypatrywaliśmy go przez dziesięć godzin, wreszcie ku naszej wielkiej radości, za rufą wyłoniła się z mgiełki sylwetka naszej zguby.

W południe, pogoda zaczyna się jeszcze psuć. Wiatr tężeje, fala rośnie, a dla dobitniejszego upewnienia nas, że jesteśmy na Północnym Atlantyku, przychodzą fale dżdżu, zmniejszające widoczność do zaledwie jednej mili morskiej. W zasadzie wiatr mamy prawie pomyślny i w normalnych pokojowych warunkach, żegluga nie byłaby zbyt przykra, jednak wobec warunków wojennych, musimy zygżakować i na nych, musimy zygżakować i na niektórych kursach podstawiamy się fali, która wówczas kładzie nas

na burzę do 40°.

Następnego dnia o świcie, na kursie ukazuje się sylwetka. Alarm bojowy stawia na nogi całą załogę, by godnie przywitać ewentualnego wroga. Za chwilę jednak rozpoznaliśmy kilkadziesiąt statków brytyjskiego konwoju, idących kursem przeciwnym i "odboy" zwolnił wolną wachnię pod pokład.

Niestety S/S "C" i tej nocy zgubił się. Czekaliśmy do południa, sądząc, że dojedzie nas, tak jak dnia poprzedniego. Gdy tym razem, prawdopodobnie wobec znacznie gorszej niż w dniu wczorajszym widoczności, zguba nie zjawiała się, dowódca eskorty — brytyjski kontrtorpedowiec — przekazał nam dowództwo, a sam udał się na poszukiwanie marudera. Odchodząc nadał sygnał: "Good luck and happy Christmas."

Happy Christmas! Właśnie dziś jest Wigilia Bożego Narodzenia. Zastępca dowódcy i komisarz mają poważny kłopot, bo jesteśmy od dłuższego czasu poza naszą bazą i świeży prowiant od kilku już dni wyczerpał się. Zwyczajem okrętowym w tym uroczystym dniu należało by poczęstować załogę wystawną wieczerzą, ale i Salomon nie "należe" z prowiantury zaopatrzonej tylko w konserwy i to w niezbyt obfitej ilości.

Ze zmrokiem wolna wachta zasiadła do stołów na swych pomieszczeniach. Na każde pomieszczenie udał się jeden oficer, by reprezentować dowódcę, który, mając na swej odpowiedzialności bezpieczeństwo konwoju i własnego

okrętu, nie może sobie pozwolić na opuszczenie pomostu. Jedynie ze swej kabiny, przez rozłożone okrętową, dowódca wygłosił przemówienie wigilijne i złożył załogę życzenia szczęścia i szybkiego powrotu do swych rodzin. Wzruszyła się brać żeglarska słowami dowódcy i każdemu zrobiło się rzewnienie, na wspomnienie, jak to bywało dawniej. Przecież to już nie pierwsza Wigilia poza domem i Krajem.

W wyniku narad zastępcy dowódcy z komisarzem, przy wydatnym oczywiście udziale kucharza — na pomieszczenia wniesiono wieczerzę wigilijną: bigos, herbatę z rumem i suchary. Dla zadośćuczynienia tradycji, w braku opłatka przelamano się sucharami, jako że są prąsna, spożyto skromny posiłek, zamieniono parę słów, temu i owemu wyrwało się z piersi głębokie westchnienie i — czas na wachnię, gdyż zmarznięci i przemoknięci koledzy niecierpliwie czekają na zmianę.

Mam wachnię na pomoście. Naprzódno przebiegam wzrokiem dokoła horyzontu w poszukiwaniu choćby jednej gwiazdki. Niskie geste chmury, na moment rozhyliły się, pokazały sierp księżyca i znów zaciągnęły na dobre. Tylko wiatr stopniowo zaczyna słabnąć i ocean się uspakaja, jakby w ten wieczór pojedynania nie osmielał się nam uprzykrzać służby. "Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli."

Właśnie przypominało mi się, jak wychodząc z kabiny na wachnię,

podniosłem z biurka trzy broszurki, które spadły z półki podczas przechyłów okrętu. Kupiłem je, będąc na ostatnim krótkim urlopie, z zaciekawionym jakie też zagadnienie porusza nasza publicystyka. Nie udało mi się zakup. Każdy z trzech autorów zjechał zjadliwością, siłą się by dotkliwie dokuczyć swemu przeciwnikowi, reprezentującemu odrębny pogląd na sprawę. W rezultacie, dla mnie, jako neutralnego czytelnika, pełniącego swą ciężką służbę na morzu i nie mającego czasu na zgłębianie przyczyn rozbiegania się naszej emigracji na kilka nieprzyjaznych sobie ugrupowań, jedna broszurka wygląda niepoważnie, druga jest złośliwa, a trzecia wręcz ordynarna. Biedny czytelnik, który nie posiada wyrobionego poglądu na sprawę, może oszaleć, a już wyobrażam sobie naszych gościnnych gospodarzy — Brytyjczyków, którzy mało nas znając, niewątpliwie wyrabiają sobie o nas nieszczytelną opinię.

Przeszło mi przez myśl, że w grę wchodzi tu nadmiar tego, czego mnie i moim kolegom brak — a mianowicie nadmiar czasu. Gdyby tak pieniaczko nastroszeni szanowni rodacy popełnili służbę wachtową na dwie zmiany, w ciężką, sztormową, północno-atlantycką pogodę, przerwał kilka razy na dobę krótki wypoczynek jakimś alarmem, a w Wigilię Bożego Narodzenia przelamali się sucharem zamiast opłatka, może by nauczyli się współpracować, stali się też — ludźmi dobrej woli. I głosili chwałę Boga na Wysokościach, a nie naruszali spokoju tych, co dżis na morzu, ładzie i w powietrzu pełnią odpowiedzialną a uciążliwą służbę, nie dla ludzi ani dla orientacji, ale — dla POLSKI.

JERZY SZULAK

Panie Redaktorze!
Ponieważ nie umiem po polsku tak dobrze by móc napisać długi list do wszystkich naszych polskich Przyjaciół jak bardzo są nam drodzy i bliscy dlatego list ten będzie krótki.
Jestem zawsze pełna podziwu dla dzielnych dzieci polskich tak osamotnionych i chwilowo bez własnej Ojczyzny i cierpiących tak wiele. Niech ten najskromniejszy dar jaki złączam będzie przesłany dla polskich dzieci na Bliskim Wschodzie, za co uprzejmie dziękuję.
Złączając M.O. na sumę dwa funty prosimy uprzejmie Pana Redaktora o włączenie tych pieniędzy do funduszu na powyższy cel.
Elżbieta K. Ashby

Will you please find enclosed the sum of sh.5 for the relief of Polish Children in Russia. We received the gift for Christmas from Mr. and Mrs. Jones, Bradford, with warmest thanks.
Edward—Frank

W załączeniu przesyłam kwotę £11.12.7 złożoną przez podoficerów i szeregowców III. Dyonu ... P.A. Mot. w mies. styczniu b.r. z przeznaczeniem na Pomoc Polakom w Rosji.
Dowódca Dyonu major J.W.

Marynarz pokładowy L.L. na Pomoc dla Polaków w Rosji £3.0.0.

W załączeniu przesyłam 2 przekazy pieniężne na łączną kwotę £5.0.0 /pięć funtów/ którą otrzymałem od p. Anny Urbankowej, prezeski Klubu Koła Pań Polskich w Jersey N.Y., U.S.A. do mojej dyspozycji.

Pomoc dla Polaków w Rosji: £7,510

Kwotę powyższą przeznaczam na Fundusz pomocy Polakom w Rosji.
Kpt. J.S.
Zamiast kwiatów na trumnie s.p. mjr. Bienkowskiego Franciszka oficerowie Wojskowego Instytutu Geograficznego przeznaczają na Pomoc Polakom w Rosji £3.18.0 /trzy funty 18s./
Money Order na powyższą kwotę dołącza się. /N.44778/
Polish Forces P/70

W załączeniu przesyłam £2.15.0, zebranych przez pacjentów szpitala z okazji pożegnania Komitetu "SEFA", który pracował w tut. szpitalu — z przeznaczeniem na Polaków w Rosji.
Oficer Oświatowy.
Wł.B. ppor.
W załączeniu przesyłam P.O. na kwotę sh. 10 ur pomoc dla Polaków w Rosji jako nieprzyjętą przez ks.

kapelana Warakomskiego ofiarę za odprawioną dnia 3.II.43 żałobną mszę św. za duszę s.p. kolegów z I. komp. Szkoły Podch. którzy niedawno zginęli po storpedowaniu statku przez niemieckie łodzie podwodne na Atlantyku.
Msza św. została odprawiona z inicjatywy uratowanych w tej katastrofie kolegów.
/cztery podpisy/
W załączeniu przesyłam d.10

w znaczkach pocztowych za nadesłane numery "Polski Walczącej."
ppor. G.O.
W załączeniu przesyłam czek na £7.0.0
Z poważaniem
por. Wł.R.
"ŁAŃCUCH OFIAR"
Przekazuję do "Łańcucha Pomocy Polakom w Rosji" kwotę £2.2.0 złożoną na powyższy cel przez III. pluton I. Kompanii Saperów.
Oficer oświatowy pchor. B.

Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie

Redakcja "Polski Walczącej,"
Potwierdzam odbiór 143 egzemplarzy książek, które Redakcja przysłała jako dar czytelników "Polski Walczącej" dla naszych żołnierzy znajdujących się na Środkowym Wschodzie. Wszystkim ofiarodawcom jak również Redakcji "Polski Walczącej" składam za powyższy dar serdeczne podziękowanie.
Doniosłości inicjatywy tej nie potrzebuję specjalnie podkreślać. Mimo, że ostatnio na Środkowym Wschodzie wszczęto druk książek polskich na dość znaczną skalę, to jednak potrzeby kulturalno-oświatowe naszych kolegów-żołnierzy są tak duże, że każda książka polska przystana z Wielkiej Brytanii na Środkowy Wschód stanowi dla nich

wielką wartość.
Wierzę, że apel "Polski Walczącej" znajdzie szerokie echo wśród wszystkich naszych żołnierzy znajdujących się w Wielkiej Brytanii.
Jednocześnie zaznaczam, że nadesłane książki zostaną wysłane najbliższym transportem do Dowództwa Armii Polskiej na Środkowym Wschodzie.
Szef Wydziału Prac Kulturalno-Oświatowych
Dr. Długosz H. przesał dla żołnierzy na Wschodzie: "Polski śpiewnik narodowy" — "Koledy." — "Basic English for Polish Students." — Wypiański: "Wesele."
Bezimiennie: "Wybór pism i autobiografia" — Stanisława Thugutta /2-egz./

Anonimowy dar: "The Greatest People in the World" — by Flying Officer "X." "Modern Battle" — Major Paul W. Thompson. "Ursula Vivian" — Annie S. Swan. "Sum the Sudden" — P. G. Wodehouse. "The English Digest", June, 1942. "Readers Digest", March, 1942, i December, 1939. "Grammaire de la Langue Anglaise" — J. McLaughlin. "Memoires d'un Grenadier Anglais /1791-1867/" — William Lawrence. "Pan Tadeusz" — Adam Mickiewicz.
Dnia 1 lutego otrzymaliśmy od Wydziału Prac Kulturalno-Oświatowych list zawiadający o wysłaniu do Dowództwa Armii Polskiej na Wschodzie transportu książek zebranych przez czytelników "Polski Walczącej" w ilości 179.
Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 210 książek.

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £38.35 /słownie trzydzieści osiem funtów, trzy szylingi i pięć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.
Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną do tej pory do £7,510.55 /słownie siedem tysięcy, pięćset dziesięć funtów, pięć szylingów, pięć i pół pensa/, 108 pesetów hiszpańskich, 28 dolarów kanadyjskich, 4 dolary amerykańskie i 15 czerwieńców.
NA URATOWANE ZIARNA
/Patrz Polska Walcząca z dnia 16. stycznia 1943 r./
W załączeniu przesyłam czek na £6 jako zwrocony dług kpt. pil. K. z RAF Station N.—na pomoc junakom z Rosji.
Oficer Oświatowy

Tekst: RYSZARD POBÓG

PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ

Rano Pompka za głowę Nieustannie się chwytal,
Jakby w nocy w hotelu Całą biblię przeczytal.
Wywiad w radio Columbia Też go nie mógł ominać —
Waluś krótko oświadczył: Pragnę walczyć i zginąć!
Potem przyszła do niego Dolly /chrzestna mamusia/,
Niespodziankę — ryknęła — Mam dla mego Walusia.
Pojeżdżesz ze mną — orzekła — Żołnierzyku, perelko,
Obejrzymy najnowsze, Elektryczne krzeselko!
Krzesło Waluś obejrzał, Wszystko sprawdził i zbadal,
W końcu Dolly zapyta, Jak na krześle się siada?
Nic trudnego — odparła — Siadam, sprzęgło podnoszę ...
Coś psyknęło, błysnęło — No i z Dolly był prosek.

PRACOWNIA MALARSKA
Fundusz Kultury Narodowej uruchomił w Londynie pracownię dla polskich artystów i dla b. studentów polskich uczelni artystycznych, stale lub czasowo przebywających w Londynie.
Pragnący korzystać z pracowni i modela winni się zgłosić do Henryka Gotliba, 51, Upper Park Rd., N.W.3 /stacja kolei podziemnej: Belsize Park/ tel: PRImrose 0411.

Zagrobny Stanisław, Box 260/29 G.P.O. London, E.C.1, przybyły z Rosji poszukuje adresów, względnie miejsc pobytu następujących osób:
Zofji Żarczyńskiej z domu Nowak, ur. 1916 r. ostatnio widzianej w Teheranie.
swoich dzieci: Krystyny, Edwarda i Daniela Zagrobnych /lat 10, 8 i 6/ ostatnio w sierocińcu Obozu Cywilnego Teheran.

SPIS RZECZY:
Zygmunt Nagórski, jr.: Dwieście tysięcy. — Stefan Osiecki: Kompozycja /Druga nagroda w konkursie na pracę graficzno-rysunkową/. — Zbigniew Grabowski: Szkic sytuacyjny. — Z tygodnia na tydzień. — M. J. Gordon: Nowości lotnicze. — Przyjaciel Polskich Sił Zbrojnych. — Bronisław Nowicki: Potencjał wojenny Z.S.R.R. — Stefan Łaszkiwicz: Z kampanii francuskiej: W dymach Namuru. — Lotnictwo polskie we Francji. — Wiktor Budzyński: Bez black-outu. — Marian Hemar: Ballada o starszym strzelcu. — Skrzynka pocztowa. — Z życia obozów: Ludwik Bojczuk: Polska Y.M.C.A. motoryzuje muzykę. — Jerzy Szulak: Suchary zamiast opłatka /Wigilia Bożego Narodzenia na "Blyskawicy"/. — Pomoc dla Polaków w Rosji. — Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie. — Ryszard Pobóg: Przygody Walentego Pompki /rysunki Mariana Walentynowicza/. — Fotografie.

POSZUKIWANIA

Kto z Polaków przybyłych z Rosji może udzielić mi informacji o moim ojcu: A. ZYLBERSZLAKU, z zawodu fotografe, pochodzącym z Sosnowca, a ostatnio zamieszkałym w Chorzwowie. Po wybuchu wojny zbiegł do Lwowa, a następnie ewakuowany w czerwcu 1940 r. w głąb Rosji.

BELGRAVIA HOTEL
86, Belgrave Rd., London, S.W.1
Tel. Victoria 1649
Ciepła i zimna woda we wszystkich pokojach. Pokój ze śniadaniem i kąpielą £2.2—tygodniowo albo 8/6 dziennie 5 minut od Victoria Station

PROSIMY ODWIEDZIĆ
najpiękniejszy w Edynburgu nowoczesny zakład fryzjerski
MAISON TENSFELDT
/The Ivory House/
79/81, Shandwick Place
100 m. za West End
Wielki wybór drobnych upominków w artystycznym wykonaniu Galanteria. Dział kosmetyczny.

kuowany w czerwcu 1940 r. w głąb Rosji.
Miał się znajdować w Krasnouralsku przy wyrąbie lasów. Osoby mogące udzielić informacji proszone są o łaskawe zwrócenie się pod moim adresem: LEO SILVER, Box 452, BULAWAYO, Southern Rhodesia, Africa.
Wszelkie koszta z podziękowaniem pokryje.

Osoby, które się zetknęły na terenie Rosji lub Iranu z JADWIGĄ BATKO ze Lwowa, proszone są o łaskawe przekazanie informacji pod adresem: Stanisław BATKO, 83, Mortlake Rd., Kew, Richmond, Surrey, England.

Kto z rodaków przybyłych z Rosji mógłby udzielić mi informacji o mo-

KTOKOLWIEK z zainteresowanych Polaków życzyłby sobie **NOWY TESTAMENT** lub **EWANGELIE SW. JANA** w języku POLSKIM proszę się zwrócić pisemnie do Pana S.K. Hine, 110, Christchurch Road, London, S.W.2.

jej żonie PAULINIE REITER, wywiezionej z Tarnopola w maju 1941 r. z trojgiem dzieci do Rosji /prawdopodobnie Omska Oblast/, proszony jest o łaskawe doniesienie mi pod: P/76 B., Józef Reiter.

NAJLEPSZY SZKOCKI SAMODZIAŁ
oraz wszelkie wyroby z wemy: GREENSMITH DOWNES
Edinburgh
Damska konfekcja: 57, George Str. /naprzeciw Music Hall/
Męska konfekcja: 124, George Str. /West End/

LITESOME
PASY PODTRZYMUJĄCE zmniejszają wysiłek fizyczny
Przynoszą mężczyznom bez względu na wiek dużą ulgę. Wygodne w noszeniu. Model Mayfair 15/2. De Luxe 6/10. Poradź się krawca, aptekarza, w sklepie sportowym, lub też prześlij przekaz poczt. z podaniem miary w pasie do **FRED HURLEY, LTD.**
Box 152, Victoria Park Mills, Keighley.

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh. 20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.
Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Lepiej i więcej razy się ogolisz i zaoszczędzisz pieniądze używając Gillette która zaoszczędza stali